Nr. 25 - 22-VI-1929.

ŚWIAT



HUMOR ZAGRANICZNY.



— Ten pan, któremu się kłaniałem, to mój stały klijent. Leczę go od 30-tu lat.
Kolega:
— Ma chłop widocznie żelazne zdrowie.

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV — ŚWIAT — NR 25

WARSZAWA, DNIA 22-go CZERWCA 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

LIST DO ZAKOPANEGO

Tyle już listów napisałem z Zakopanego, że niech mi raz będzie wolno napisać list do Zakopanego. Umgekehrt ist auch gefahren. Straszliwe bowiem stamtąd dochodzą mnie wrzaski, że w tym roku wcale tam jeszcze nie byłem i groźby, że jeśli nie przyjadę w lecie, to sprawa zamieni się w dość przykrą awanturę. Bardzo mi to wszystko pochlebia, widać z tego bowiem, że jestem tam gościem pożądanym; może to stąd pochodzi, że wedle bystrych żydowskich spostrzeżeń, przynoszę Zakopanemu szczęście w handlu. Wzbiło mnie to cokolwiek w słuszną zresztą dumę, że tam, gdzie przed laty mówiono o mnie ze zgrzytaniem prawdziwych i fałszywych zębów, gdzie mnie uważano za parszywą kozę, gdzie sobie obiecywano, że moimi kośćmi wybrukują Krupówki, gdzie patrzano na mnie zezem, gdzie mi w knajpie podawano takie wino, że gdyby nie moja słynna wstrzemięźliwość, skapiałbym ze szczętem, gdzie krowy ryczały ponuro na mój widok, a dorożkarze uczyli konie swoje nienawiści mojej osoby, że tam, gdzie mnie ścigało złorzeczenie, gdzie klątwa biegła za mną, jak kulawy kundel, że tam — powiadam, — kiedy się dzisiaj nagle na Krupówkach pojawię, uśmiechają się do mnie wszystkie gęby, kozy beczą radośnie, rozgłośnie gdyczą kury, a dorożkarze oznajmiają z przejęciem swoim koniom, że sezon się uda, bo pan Makuszyński przyjechał. Dumny jestem i szczęśliwy. Teraz tam znowu czynią wrzask, abym przyjechał, a ja nie mogę i dlatego list ten piszę, bardzo rzewny, cicho popłakując. Będą go czytali głośno u Karpowicza i też ślozy popłyną, a stary Karpowicz, w przystępie żalu, gotów jest popełnić czyn obłędny i nie znając miary rozpaczy, wypije butelkę własnego wina. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam Wam, lepiej by mu było, gdyby wypił litr jodyny.

Otóż, najmilsi moi, przyjechać nie mogę z wielu powodów. Są to prywatne moje sprawy, ale ponieważ w Zakopanem najprywatniejsza nawet sprawa staje się po trzydziestu czterech minutach publiczną na przestrzeni od Kościeliskiej do Jaszczurówki, nie będę ich nadaremnie ukrywał.

Pierwszym powodem jest to, że nie mam dokąd zajechać. Okrzyk zdziwienia w całem Zakopanem! Karpowicz ryczy jak lew, choć z pozoru wygląda na lwicę w błogosławionym stanie; zdumiał się piąty i dziesiąty. Wszak są znakomite w Zakopanem pensjonaty, są Bristole i Carltony, więc miejsce by się dla mnie znalazło. Tak, ale już niema Sanato. Sprzedali je Związkowi pocztowców, a ja, nieszczęsny, nigdy nim nie byłem i najmniejszych na to szans nie mam, że nim będę. Przyzwyczajenie jest drugą naturą, a Sanato było moim domem. Kochali mnie tam, płacąc miłością za miłość. Ja wygnałem stamtąd nocą krążące duchy, wykorzeniłem pijaństwo, wprowadziłem natomiast miły zwyczaj wspólnych modlitw przed i po jedzeniu, co się powinno w całem wprowadzić Zakopanem i co nie było by bez pożytku i bez głębszej myśli. Przed jedzeniem powinno się w Zakopanem odmówić krótką modlitwę, prosząc Boga o zmiłowanie, po je-

dzeniu dziękując niebu, że się jeszcze żyje. W Sanato — o, boleści! — byłem niekoronowanym królem, który pijał specjalnie sprowadzane Etna bianco i dostawał kawę z kawy. W Sanato pisałem sobie książeczki, patrząc czasem na księżyc, co się nad górami włóczył, albo grałem w brige'a z paniami, czem sobie za życia zarabiałem na niebo, bo trzy robry z paniami, to tanio licząc, skreślone trzy miljony lat czyśca. W Sanato mieszkali przyjaciele moi najlepsi, w Sanato bywał i wielki Kasprowicz i Małaczewski, dusza cudowna, a z żywych i Boy i Szymanowski Karol i Choynowski i Skoczylas i Treter, i dwudziestu jeszcze sławnego luda. Gdyby te mury umiały mówić, trzeba by skonfiskować mury.

Jakże ja teraz zajadę gdzieindziej? Gdzie jest taka druga Józia, jadalnią władnąca, co przez piętnaście lat wołała: — „Od jutra ma być wszystko eleganckie, bo pan Makuszyński przyjeżdża!" — więc było eleganckie, bo mi niemal, że i sztukę mięsa ubierano kwiatami. Czy mi to zrobią gdzieindziej? „Wątpię tego!" — jak mówi w Zakopanem przyjemny pan Hirszprung (Jeleniskok).

Z takich rzewnych przyjemności już zresztą zrezygnowałem. Naprawdę jednak nie mogę przyjechać, bo w Zakopanem niema takiej wody, która leczy wątrobę. Muszę więc jechać do Karlovych Varów, o czem pobożnie melduję. Zdawało by się, że taki człowiek, jak ja, urodzony zapewne w niedzielę, fabrykant radości, powinien mieć wątrąbę anioła. Akuratnie! Przez dwadzieścia lat byłem krytykiem teatralnym, a od lat dwudziestu pięciu jestem literatem. Zawód ten, szlachetny zawód, ma tę właściwość, że już po roku żywota wśród sielsko anielskich stosunków literackich można wątrobę sprzedać na szmalec. To jednak do rzeczy nie należy. Jako przyczynę główną niedomagań szlachetnego tego organu, można podać właśnie Zakopane, jeśli się uwierzy nieprawdopodobnym zresztą i niesprawdzonym teorjom medycznym, że alkohol ma podobno wpływ na nią szkodliwy. Jest zresztą alkohol i alkohol. Miałem z nim w życiu mało styczności, przy wyjąwszy okoliczności uroczyste, święta narodowe i kościelne, które należało uczcić, ale nawet ja gotów jestem uwierzyć, że w napojach zakopiańskich mieszka śmierć. Zdarza się wprawdzie, że jest w nich przewaga przeczystej górskiej wody, w większości jednak wypadków fabrykacja ich jest bardziej skomplikowana i wysoce europejska. Nie wiem, czy w Chorzowie chemja stoi na poziomie wyższym. Butelka zakopiańskiego wina ma w sobie wybuchową treść pirytu; jest w niej gorycz i rozpacz, zgryźliwość i jadowitość, melancholja i wściekłość zarazem. Ma wprawdzie w Zakopanem Kosiński w Spółce Handlowej w czeluściach piwnic wina cudowne, ale... Nie mogę skończyć zdania, bo wielki szloch chwycił mnie za gardło. Solski szelma spustoszył tę piwnicę, jakby po niej przeszedł wszelką wilgoć wypijający samum. Uważajcie na niego, bo jest w tej chwili w Zakopanem! Postawcie straż przy drzwiach piwnicy! O, dolo moja!

Ponieważ mnie w Zakopanem czasem fetowano, stąd prosty wniosek, że muszę jechać do Karlsbadu, aby móc wrócić do Zakopanego.

Jest jednak jeden powód, bardzo osobisty, który mnie zmusza do jego unikania. Nie będą ukrywał: mam w Zakopanem wroga. Jak to się stało — opowiem. Przed kilku miesiącami opisałem na tem miejscu dziwną przygodę jaką miałem z „Niedźwiedziem z Łysej Polany", Historja była taka, że udawał go dla reklamowania tatrzańskiej grozy jeden miły dżentelmen, który mi się przedstawił jako „Szorf", czy też „Szarf", bo nie dosłyszałem nazwiska. I cóż się okazuje. Jeden strasznie miły pan, stały mieszkaniec Zakopanego, słynny bridżysta, który w przyszłym roku wyjeżdża na olimpjadę bridżową do Ameryki, ma — o, nieszczęście! — podobne do tych dwóch nazwisko. Przeczytawszy moją niewinną historję, wpadł w słuszny zresztą gniew i przyjechał do Warszawy ze śmiercią pod pachą, aby ją na mnie poszczuć, jak rozżartego buldoga. Udało mi się chytrymi sposobami uniknąć z nim spotkania, a przez telefon nie można jeszcze nikogo zastrzelić. Groźba jednak wisi nademną, jak czarna chmura. Nieszczęście krąży w pobliżu, jak szakal. Wiem z powieści Conan Doyla, że człowieka, który dokonał zbrodni w Indjach, po dwudziestu nawet latach spotyka zawsze nagła, nieoczekiwana, śmiertelna zemsta z rąk obrażonych braminów. A ten człowiek z niedźwiedziej historji ma w sobie fanatyczną zaciekłość i swego nie daruje. Rano każe się budzić słowami: „Pamiętaj o zemście!" — włosy, zamiast brylantyną, smaruje niedźwiedziem sadłem, aby mu ten zapach przypominał, że go obraziłem, wsadziwszy w skórę niedźwiedzia. Otóż, jeżeli się Wam nie uda ukoić tego, zemstą dyszącego serca, nie mogę przyjechać. Mogę żyć w Zakopanem, ale umierać tam nie chcę, a na Krupówkach stoi śmierć, cierpliwa, jak policjant i czeka na mnie, z fajką w gębie. Mogę wszystko odwołać i na ręce burmistrza złożyć oświadczenie, że nie ten pan był fałszywym niedźwiedziem, on zaś ze swej strony niech złoży w klimatyce przysięgę, że mi przebacza, że mi daruje życie. A jeśli nie zechce, niech zje u Karpia gulasz i niech w mękach skona.

Już bowiem nie mogę wytrwać i radbym już był w Zakopanem, bo mnie tam Witkacy będzie malował. Tak to, tak! Pyskować na Zakopane można, ale pojechać tam się musi. Jest to wampir, co mi krew z serca wypija, jak Solski Kosińskiemu wino. Więc niech tam nie robią krzyku na mój temat. Nie przyjadę! Bo jeśli, urwipołcie, zaczną namawiać, a gadać, a prosić, a pisać, a depeszować — gotów jestem plunąć w Sprudel i za dwanaście godzin być w Zakopanem. Nie namawiaj, bo ulegnę... A ja nie chcę, nie chcę, nie chcę... Nic tam po mnie. Nawet nie mam gdzie skłonić głowy...

Kornel Makuszyński

KRÓL EGIPSKI W EUROPIE





KRÓL ACHMED FUAD I,

KSIĄŻĘ NASTĘPCA FARUK — KRÓLOWA NASLI

SI VIS PACEM PARA BELLUM



ZJAZD DELEGATÓW FEDERACJI OBROŃCÓW OJCZYZNY ODBYŁ SIĘ W UB. TYGODNIU W SALI RADY MIEJSKIEJ W WARSZAWIE W OBECNOŚCI P. PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

HUFCE MŁODZIEŻY SZKOLNEJ PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO I WYCHOWANIA FIZYCZNEGO PRZEDEFILOWAŁY W DZIEŃ SWEGO ŚWIĘTA PRZED DOWÓDCĄ D. O. K. GENERAŁEM WRÓBLEWSKIM



ULICA ALCALA W MADRYCIE

TYDZIEŃ W MADRYCIE

III.

(Garść wrażeń)

Katedra toledańska jest dumą hiszpanów. Łączy się ściśle z dziejami ich państwa, weszła do ich literatury. Znaczna część głośnej powieści Pereza Galdosa rozgrywa się w Toledo. Opisuje w niej szczegółowo piękności i bogactwa ukochanej katedry. Bohaterką jednego ze swych najlepszych utworów uczynił ją Blasco Ibanez. Oto pokrótce treść jego romansu. Gabriel Luna, toledańczyk z urodzenia, jest wykolejeńcem życiowym. Był przez jakiś czas w seminarjum duchownem, brał udział w wojnie karlistowskiej. Tam stał się anarchistą. Wiedzie żywot nędzny i tragiczny. Jest wciąż tropiony przez policję. Siaduje w więzieniu. Toczy go choroba. Aż wreszcie, wyczerpany nędzą i walką, żarty tęsknotą, postanawia wrócić do rodzinnego Toledo, gdzie brat jego, Esteban, sprawuje przy katedrze dostojny urząd kościelnego, a młodzieńczy bratanek, zanim spełnią się jego sny o sławie matadora, tymczasem pełni przy tejże katedrze mniej zaszczytne, ale bardzo odpowiedzialne obowiązki perrera, t. j. wyganiacza psów. Cała rodzina Gabrjela czerpie środki do życia z katedry. I jemu udaje się zaczepić przy niej. Surowy kościół jest jak matka gorliwa, która nie odepchnie dziecka, choć nie umie się do niego uśmiechnąć.

Poznajemy życie katedry, jej ceremonjały, przepych, nieprzerwaną nić tradycji. Włóczykij hiszpański zwolna ulega urokowi, jakim tchną te potężne, granitowe łuki. Lecz rozgłos jego dawniejszych, anarchistycznych „wyczynów" poruszył młodszą brać toledańską. Zjawili się u niego urwipołcie o szalonych głowach, czynią zeń swego przywódcę, otaczają uwielbieniem. Nęcą ich skarby, nagromadzone w katedrze. Nie uznają żadnych skrupułów. Gabrjel Luna jest stróżem owych bogactw. Czyż odmówi im pomocy?

Pewnej nocy Gabrjel słyszy podejrzane kroki.

— Kto idzie?

To jego przyjaciele, najbliżsi towarzysze codzienni. Przyszli ukraść skarby kościoła. Gabrjel Luna nie chce pozwolić na rabunek. Wywiązuje się walka. Nawrócony anarchista pada w obronie katedry...

. . . .

Skarby katedry toledańskiej są istotnie niebywałe. Mnie zachwyciły najsilniej księgi święte, cudownie iluminowane. Jacyż to artyści trawili życie nad temi bezcennemi pergaminami!

Wspaniałe również są hafty bogatych szat kapłańskich, oraz niesłychanie misterne koronki. Kanonicy we fioletach, którzy nas oprowadzają, z zadowoleniem przyjmują okrzyki podziwu.

Katedra obudowana jest gęsto. Na szczęście, w Toledo nie dopuszczono do barbarzyństwa, którego pastwą stała się katedra w Burgos. Tamtejsi esteci uznali, że należy miejscową katedrę odsłonić. Zburzyli cały kompleks domów, które otaczały kościół, zapominając, że te domy były jak dzieci, garnące się do ukochanej matki. Katedra w Burgos razi dziś nagością swych linji...

. . . .

Niejednokrotnie już wydrwiwano pohopność podróżujących literatów do uogólniania postrzeżeń Tak to jeden z moich znakomitych poprzedników, ujrzawszy na dworcu kolejowym w Londynie dwie czerwonowłose kobiety, orzekł, że wszystkie angielki są rude. By poznać duszę, charakter i obyczaje obcego narodu, nie wystarcza życia człowieka. Ale Paweł Morand, nie wahał się napisać książkę o Chinach, przebywszy parę tygodni w Pekinie. Duhamel wydał dzieło o Rosji Sowieckiej, choć bawił w niej, pod czujną i pilną opieką, niespełna miesiąc. Piotr Loti poszedł dalej: trzy dni, spędzone w Angkor wystarczyły raz do napisania „Pielgrzyma z Angkor'u". Najdalej jednak, zdaje się poszedł w tym kierunku Chateaubriand: nad jego opisem Mississipi płakały rzewnie nasze prababki, on zaś tam nie był nigdy...

Więc będę się dzielił w dalszym ciągu memi wrażeniami.

. . . .

Życie madryckie ma, jak wszędzie na południu, silny puls zewnętrzny. Koncentruje się na ulicy, w kawiarni, w klubie. Przedwieczorna gorączka sięga najwyż-



ARYSTOKRATYCZNY TYP PIĘKNOŚCI HISZPAŃSKIEJ W CHARAKTERYSTYCZNEM PRZYBRANIU GŁOWY

szego napięcia na Puerta del Sol i Calle de Alcala. Kto chce zobaczyć ponętne, ciemnookie Carmeny o ostrych, śnieżnie białych zębach, niech tam zmiesza się z tłumem, gdy zmierzch zapada. Nie należy się obawiać zgiełku i krzyku, którym huczy w tej porze śródmieście: ludzie są tutaj uprzejmie życzliwi. Stara kultura!

Klubów w Madrycie jest wiele. Urządzone są wspaniale. Olbrzymie sale, monumentalne westybule, bogate dekoracje i meble. Już od rana w wielkich oknach parterowych można postrzec licznie zgromadzonych panów, którzy mają sobie wzajem bardzo dużo do powiedzenia, a przytem bacznie lustrują przechodniów. Jeśli pogoda jest przychylna, służba w sutej liberji wynosi im trzcinowe fotele na ulice. W późniejszych godzinach popołudniowych wszakże znikają hidalgowie w czeluściach swoich klubów. W wielkich oknach zapuszczają się rolety, ciężkie portjery. Skończył się czas płochych rozhoworów: na zielonem suknie stołów pojawiły się karty. Hiszpan lubi ciągnąć do dziewiątki...

Mmniej zamożnym obywatelom kawiarnia zastępuje klub. W klubach widzi się tylko mężczyzn, w kawiarniach — przeważnie.

Tryb życia hiszpańskiego jest dość odrębny. Drugie śniadanie podają tutaj o 2-ej, obiad — między 9 a 10-ą wieczorem. Ta niezwykła pora obiadowa stała się niebezpiecznym wrogiem teatru. Widowiska rozpoczynają się późno i bardzo późno się kończą.

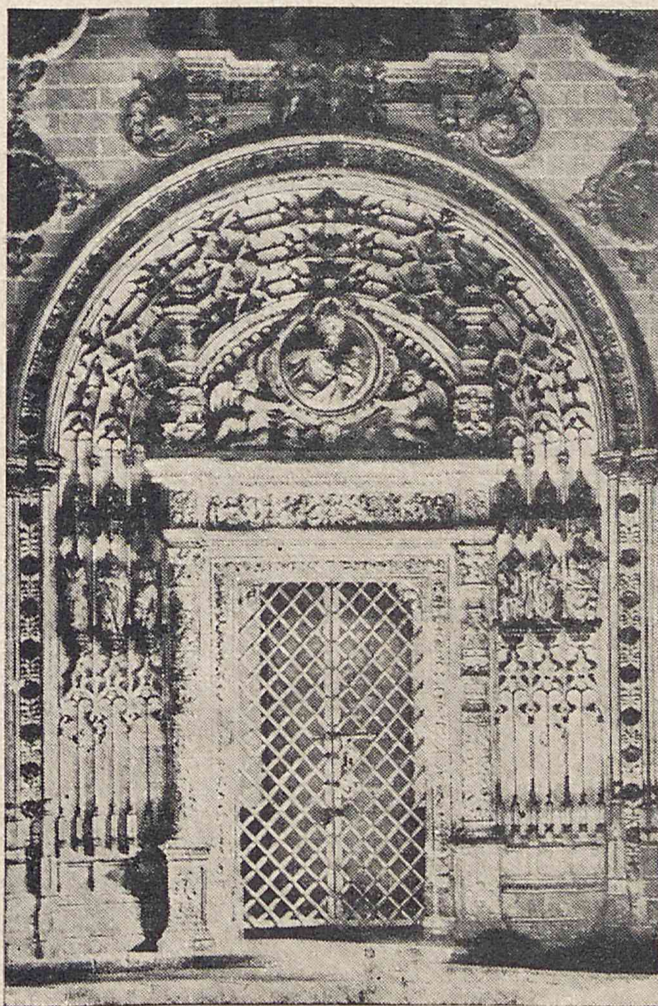
Duszne upały letnie wpłynęły zapewne na ten układ życia.

. . . .

Kongres autorów dramatycznych odbywa swe obrady w pałacu wystawowym w głębi cudnego parku Retiro. Zaiste, ten park, to jeden z najcenniejszych klejnotów Madrytu. Jakie drzewa, krzewy, kwiaty! Co za rozkosz oddychać ich wonią! Zwłaszcza ranki i przedwieczerze mają tu powab niezapomniany. Rozległe jezioro, marmury rzeźb, wytworne kawiarnie... Rozkoszne, czarujące *Jardinillos!*

„Ani ogród Hesperyd, ani pola Elizejskie nie mogą wytrzymać porównania z tym rajem ziemskim! — zwierza się w swej „Lalicie" głośny powieściopisarz, Armendo Palacio-Valdes (z królewskiej Akademji Madryckiej). Wśród gęstwy liściastej obszerny krąg, wysypany piaskiem. Po środku kiosk dla muzyki, dokoła fotele i krzesła. W nich panie, otoczone wielbicielami, roześmiane, rozflirtowane. Światło lamp elektrycznych jest tak dyskretne, że gdy któryś ze śmielszych uwodzicieli przymknie się wargami do ust kochanej, zaledwie najbliżsi sąsiedzi to postrzegą..."

Ale w pałacu kongresowym nie ma zalotnych i pięknych pań madryckich: dokoła stołów zasiadły osoby o znacznie wyższych wartościach duchowych, niż doczesnych. Nawet młodsi świecą raczej łysinami niż elegancją. I dyskusja wlecze się leniwo, choć zawzięcie. Zatarg między Tow. Dramaturgów Argentyńskich a ich agencją generalną ożywia cokolwiek rozprawy. Z ramienia Konfederacji a na koszt Tow. Argentyńskiego pojedzie do Buenos Aires p. Gleise, by ostatecznie zlikwidować te swary. Szczęśliwej podróży!



BRAMA SKARBCOWA W KATEDRZE W TOLEDO

. . . .

Teatr Królowej Wiktorji urządził dla gości kongresowych przedstawienie galowe. Rozpoczęło się ono o 11-ej wieczorem; dawano jedną z nowszych komedji najsłynniejszego obecnie dramaturga hiszpańskiego, Jacinta Benavente (dyr. Trzciński wystawił przed kilku laty w Krakowie z dużem powodzeniem jego „Krąg interesów").

Tytuł sztuki brzmiał „Vidas Cruzadas" (Skrzyżowane drogi), o co jednak znakomitemu koledze w niej chodziło, nie wiem, bo nie zrozumiałem ani słowa. Odczułem tylko silnie powab i dźwięczność mowy hiszpańskiej: brzmi ona ze sceny przepięknie, posiada tony twardsze, niż inne języki łacińskie, przez to jednak właśnie nabiera męskiej siły i rozmachu. Można-ż się dziwić, że, posiadając tak cudownie brzmiący język, hiszpanie kochają się w wymowie, w kwiecistości stylu, że elokwencja i grandelokwencja przestają służyć tutaj jako narzędzie, stają się wartościami „samemi w sobie".

Byłem również w kilku mniejszych teatrach na t. zw. *zarzuelach*. Są to jednoaktówki, oparte na motywach ludowych, najczęściej — andaluzyjskich lub aragońskich. Słyszy się w nich pieśni wieśniaków z okolic Sewilli i Cordoby, melodje jękliwe, przesycone dziwną tęsknotą i palącym bólem. *Baturro* aragoński bawi publiczność niewymyślnym humorem, przypominającym anegdoty, które jowialny dziedzic opowiadał u nas, po świątecznej kolacji, zawstydzonemu proboszczowi...

Te drobiazgi sceniczne, wystawione bez pretensji, grane bywają wcale dobrze.

Na ogół przecie teatry madryckie, — o ile wiem, i wszystkie inne teatry hiszpańskie, — nie mogą się równać z warszawskiemi ani pod względem repertuaru, ani pod względem gry artystów i wystawy. Przeważnie są to zespoły wędrujące, sezonowe. Ta okoliczność sama już określa ich możliwości artystyczne.

Ulubionem widowiskiem szerokich warstw hiszpańskich wydają mi się przedewszystkiem walki byków, potem — *Zarzuellas*. Oczywiście i kinematograf, choć może nie w tym stopniu, jak w Niemczech, we Francji i we Włoszech. W Katalonji podobno wcale dobrze rozwija się teatr w języku miejscowym. W Barcelonie istnieją cztery teatry katalońskie. Ruch separatystyczny zdaje się tam rosnąć. Wśród uczestników kongresu było kilku autorów dramatycznych katalońskich. Należałoby zwrócić baczniejszą uwagę na tę literaturę, tchnącą, jak mi mówiono, świeżością i rozmachem.

Stefan Krzywoszewski

(D. N.).

Powieść o czynie twórczym

P. Jan Rogala skończył swą powieściową zadumę nad rzeczywistością polską. Trzeci tom trylogji o „Próbie ognia" otrzymał tytuł „Odkupienie"[1]) i stanowi niejako ogólne zsumowanie wniosków głębokiej, wysoce zajmującej dyskusji, jaką autor prowadził ze swym czytelnikiem już to pośrednio (przez charakterystykę ludzi i wydarzeń), już to bezpośrednio (przez rozważania ideologiczne).

P. Rogala powziął zamiar bardzo śmiały: postanowił przekonać, że treścią powieści niekoniecznie musi być „nieład sentymentalny", że własne, pierwsze lepsze zagadnienie życiowe przedstawia więcej tematów literackich, niż „nieporozumienia liryczne". Utarło się twierdzenie, że w powieści wszystko to, co dotyczy spraw ogólnych kraju, należy do dziedziny publicystyki. P. Rogala zapytuje, dlaczego sprawa bytu i rozwoju odrodzonej Polski ma być dla powieściopisarza przedmiotem zabronionym? dla czego twórczy wysiłek jednostek, budujących państwo i łamiących się dramatycznie dla tych lub innych przyczyn, ma stanowić tworzywo mniej zajmujące i mniej ważne, niż tajemnica alkowy i „kult kobiety"?

Jak wiadomo z „Płomienia", główny bohater trylogji, Roman Gieralt, wybitny działacz społeczny, okupił moment swego „nieładu sentymentalnego" katastrofą podwójną: zapalenie mózgu i rozbicie własnej rodziny. Wróciwszy do zdrowia, Gieralt oddaje się znowu całkowicie swej ważnej pracy organizacyjnej w Inspektoracie Gospodarczym i uświadamia sobie ostatecznie zadanie swego życia: „Tylko czyn jest twórczy, tylko on zapewnia człowiekowi należne mu miejsce w otaczającej go naturze. Z powłoki bezwładu i apatji tylko on może człowieka uwolnić i wyprowadzić go na drogę życia, związać ze społecznością ludzką. Praca jest celem, spokojem i walką, ona tworzy i uszlachetnia — nie jednorazowy poryw bohaterów, lecz ten ciągły, stały, powszedni wysiłek"... Codzienne życie bohatera o takiej treści wewnętrznej nie nastręcza sposobności do gwałtownych zatargów według wzorów dawnej powieści. To też Gieralt przesuwa się w „Odkupieniu" dorywczo, cały oddany „powszedniemu wysiłkowi". Nieco rozmyślań własnych; nieco djalogów społeczno - politycznych; nieco troski o serce dorastającego syna, który żywi żal do ojca, że nic mu nie mówi o rozłamie z matką; nieco dorywczych kontaktów rodzinnych — to niemal cały obraz powieściowej egzystencji Gieralta. Nadchodzi znowu choroba, tym razem już śmiertelna i — Gieralt umiera.

Punkt ciężkości swej narracji przenosi autor do atmosfery, w której Gieralt przebywa: z jednej strony życie społeczne i polityczne w nowej Polsce, z drugiej — życie domowe rodziny Gieralta. Skojarzenie powieściowe tych dwóch elementów było bardzo trudne. P. Rogala, tak samo jak najlepsi nasi pisarze, nie mógł się uporać dostatecznie z konstrukcją swego opowiadania. Niektórych szczegółów nie podkreślił dość wydatnie; inne — rozwinął nadmiernie, a pamiętając o zobowiązaniach poprzednich tomów, starał się powiadomić czytelnika o losach wszystkich znanych mu postaci trylogji. Troska ta wytworzyła tu i owdzie wzajemne przepychanie się bohaterów, aby zwrócić na siebie uwagę widza.

Atmosferę polityczną odtwarza p. Rogala ze świetną znajomością przedmiotu i z wielkim taktem. Zarówno premier Rokosz, jak leader stronnictwa „popularnego" Walęcik, są postaciami narysowanemi znakomicie, chociaż dalekiemi od portretowania. I jeden i drugi nie dorośli do zadań, które spełniać mieli i to są powody wstrząśnień w młodem Państwie. P. Rogala widzi jasno wszystkie niedomagania epoki. Wie, że „poza naśladownictwo obcych wzorów, niezawsze szczęśliwie wybranych, nie możemy dotąd wyjść". Wie, że na wszystkich stanowiskach mamy ludzi przejściowych, walczących o rozgłos.

Metody walk politycznych miały również odpowiedniki w występach literackich: „Tryumfy i klęski były święcone i opłakiwane w ścisłem gronie bojowników, a poza tem mało kto doceniał skarby djalektyki i upusty żółci, skondensowane na nielicznych, szczelnie wypełnionych, stronach wydawnictw. Pisali „sobie, nie komu", lecz cudze opinje były najchętniej przytaczane na potwierdzenie własnych tez. Wszystko to miewało charakter wprawek szermierskich i stylistycznych, cierpliwie znoszonych przez czytelników i krytykę. Czasem jednak nieoczekiwana błyskawica rozjaśniała plac fechtunku, burza przewalała się nad spokojnym zazwyczaj terenem, przenosiła się następnie na łamy pism codziennych i dzięki temu wywoływała pewien oddźwięk w opinji. Z takich kataklizmów rodziły się przeto, jeśli nie nowe myśli, to nieraz nowi ludzie; wychodzili na arenę z niebytu i starali się świętować ten fakt w sposób jaknajbardziej hałaśliwy".

Stosunek p. Rogali do rzeczywistości polskiej nie jest ani satyryczny, ani pesymistyczny. Przeciwnie, z pogodą spogląda autor zarówno na czasy dzisiejsze, jak na wyraźne już zarysy Polski jutrzejszej. Przechodzimy ciężką „próbę ognia". Płomień destrukcji zagraża nam z każdej strony, zarówno od Wschodu, jak i z Zachodu. Ale są niezawodne znaki trwałości organizmu państwowego. „Upojenie frazesem, rozlewność gestu i słowa ustępowały, rozpływały się we mgle wobec mroźnego tchnienia życia. Nie było już wiary w to, że nasz własny bezwład będzie zastąpiony przez działalność cudzą; że powtarzanie wypróbowanych i potępionych doświadczeń u nas da odmienne i niespodziewanie bujne plony; że waśń polityczna i rankory, legowane przez przeszłość, stanowią istotę i treść naszego rozwoju. Nastąpiła racjonalizacja rozumowań". Taką racjonalizację przeprowadziły uświadomione najgłębiej i najbardziej ofiarne jednostki; ale ustali ją dopiero wychowanie młodzieży. P. Rogala otacza też miłem ciepłem moralnem wychowanie syna Gieralta, zwanego w domu Bobem. Jednocześnie zaś wprowadza do opowieści typ dzielnej dziewczyny kresowej, Krzysi Ureckiej, kuzynki Boba, która zaślubia dyrektora gimnazjum, Zielińskiego, pedagoga nowej Polski. Troje tych ludzi symbolizują nadzieje autora na przyszłość. Nie zbliża się do nich z żadną tendencją sztucznej doskonałości. Bob jest przeciętnym, inteligentnym przedstawicielem młodego pokolenia. Chociaż urodzony z Francuski, stanie się niewątpliwie żarliwym obywatelem polskim. W szkole ulega różnym wpływom; nawet komunizm bolszewicki zaczął usidlać młodzież szkolną. Ale nowi pedagodzy wytwarzają śród młodzieży wczesną świadomość niebezpieczeństwa. Dyrektor szkoły, Zieliński, zdaje so-

[1]) Nakładem Gebethnera i Wolffa. 1929.

bie wybornie sprawę ze swych zamierzeń: „Musiał nastąpić przełom, ostry, zdecydowany i bezpowrotny pomiędzy przeszłością, zrozumiałą, potrzebną i wygasłą; pomiędzy pokoleniem, co swoją próbę wieku przeżyło w udrękach niepewności, zmagań i huraganów — a tymi, którzy szli, jako ludzie żywi i spadkobiercy tamtych, żyjących kiedyś nadzieją, potem — walką, a następnie — bezbronnych i niezdolnych wobec rzeczywistości". Współpracowniczką Zielińskiego będzie Krzysia, jego żona, mocny charakter kresowy i patrjotka nowego pokroju. Dojrzewający Bob zrozumiał, że pokolenie Romana Gieralta zaledwie zdążyło uprzątnąć rumowiska, a praca twórcza czeka na następców. „Nie można — mówi Zieliński — znaleźć *odkupienia* w dyskusjach, ale — w pracy. Trzeba przekształcić duszę ludzką"...

Oto zasadniczy moment rozważań p. Rogali. Wszystkie epizody romantyczne opowieści (echa romansu Romana Gieralta, kombinacje matrymonjalne pani Luty, miłość Krysi i Zielińskiego) stanowią luźne, barwne i plastyczne ogniwa narracji; celem jej jest forma „odkupienia". Autor, znakomicie obeznany z machinacjami międzynarodowemi, wprowadza do romansu historję intryg niemiecko - bolszewickich, jako jedną z naszych „prób ognia". Historja ta, wymowna i ciekawie wyłożona, służy również tezie ogólnej. Cała trylogja jest pięknym dokumentem epoki. Śród szarzyzny różnorodnego bełkotu, jakim nas gnębi popularna powieść dzisiejsza, „Próba ognia" stanowi usiłowanie wybitne: w bardzo zajmującej formie, roztrząsa najwyższe zagadnienia bytu narodowego, dając jednocześnie świadectwo niepospolitej inteligencji i dojrzałości sądu autora, wytworności jego stylu, talentu pisarza i artysty.

J. L.

List Kornela Makuszyńskiego do Juljana Fałata

Juljan Fałat, wielki mistrz polskiego malarstwa, jeden z najznakomitszych artystów, jakich bujna ziemia polska wydała, zachorował ciężko. A drogi, kochany nasz mistrz — lubo jest zawsze młody temperamentem, ochotą do życia i do pracy, ukochaniem swej wspaniałej sztuki, — liczy sporą liczbę lat. Choć i pod tym względem krążą opinje bardzo rozbieżne. Są ludzie, blisko znający Fałata, którzy jednak nie mogą uwierzyć w to, aby istotnie ukończył on teraz właśnie 74 lat. Ci powiadają, że to urzędnicy się pomylili w metryce, albo sam Fałat się pomylił i przyszedł na świat o 40 lat za wcześnie.

Więc te czterdzieści lat nie mogą być mu liczone, jako że z pomyłki korzystać nie wolno. Kwestja pozostaje niewyjaśnioną. Z niej wszakże wypływa troska i niepokój bliższych przyjaciół Fałata, gdy go dotknie choroba, niemoc. Tak się stało teraz. Fałat zachorował obłożnie w swem umiłowanem *tusculum* na Śląsku Cieszyńskim, w Bystrej. Makuszyński napisał do niego list, wydrukował go w „Krakowskim Kurjerze Ilustrowanym", którego niedzielne numery rozjaśnia swoim cudownym, szampańskim humorem i dowcipem. Upoważnił nas do przedrukowania tego listu w całej jego rozciągłości. Korzystamy skwapliwie z pozwolenia.

Juleczku drogi, duszo promienista, przebrzydły Apelleni, akwarelo najukochańsza!

Jak można robić takie kawały i straszyć porządnych ludzi? Czy to się godzi? Coś Ci tam zaszemrało w dzielnej piersi, a Ty zaraz wołasz melankolję, a co gorsze doktorów! Otóż oświadczam Ci ja i tych sto tysięcy zacnych ludzi, co ten list podpisało, że wcale nie jesteś chory. Gdybyś nawet chciał zrobić nam na złość, bo malarze do wszystkiego są zdolni, to Ci się nie uda, bo zrobimy taki gwałt u Pana Boga, że jako jelonek młody nad rzeczkę w Bystrej pobieżysz i z szat się rozdziawszy, skoczysz w wodę, której i tak tylko dotąd używałeś zewnętrznie. Wprawdzie Pan Bóg ma do Ciebie słuszne pretensje, bo musisz przyznać, że co można było łapczywie zabrać z nieba, toś zwędził. Kto Panu Bogu ukradł słońce? Fałat! Kto całe płaty błękitu odarł z niebiosów? Fałat! Kto zbierał srebrzysty blask z wody, jak śmietankę z mleka? Fałat! Kto zbierał garściami brylanty na panabożym śniegu? Fałat! Kto pozabierał z nad bagnisk muśliny mgieł, kto jedwabne poświaty ściągnął ze rżysk do swojej pracowni? Fałat! Dziw się potem, że niebo krzywo patrzy na takiego obrazoburcę heretyka!... To rzeczy niebieskie, a teraz ludzkie: kto wypił ocean wina? Fałat! Kto wszystkie serca do siebie ciągnął, kto całą miłość ludzką jak miód gromadził, kto się najgłośniej radował? Fałat! A pamiętasz siwy smyku, srebrny młodzieńcze, jak sobie postanowiłeś, że pocałujesz tę kobietę, którą Ci przedstawię? Nim do niej doszedłeś, coś narobił? Pocałowałeś wszystkie kobiety po drodze (dziesięć) — nim doszedłeś do wskazanej. I ot co? Wczoraj pytały mnie wszystkie, co się z Tobą dzieje? Powiedziałem, że udajesz bardzo chorego, aby je rozczulić. Takie to już malarskie szczęście! Ja z mo-ją twarzą, wybitnie piękną, nie mam szczęścia, a Ty?!

Smutno tu nam bez Ciebie i nijako. Co który dotknie kieliszka wina, to najpierw kroplę uleje na cześć Twoją, największego podczaszego, jakiego świat i Korona Polska widziała. Już z tego samego będziesz zdrów, jak rydz... To zaś wiedz, że każdy z Twojej kompanji chętnie nietylko wina, ale i krwi własnejby utoczył, abyś Ty tylko zdrów był. Sichulski wciąż o Ciebie pyta, frasuje się zacny Skoczylas, Staś Czajkowski czeka i czeka, olbrzym Markiewicz jeszcze podróż z tęsknoty, Szperber siedzi zafrasowany, swojego wyglądając Mistrza, Norblin grozi, że się z radości upije, kiedy Cię zobaczy, Treter odłoży podróż na wystawę obrazów u Samojedów, kiedy tu zjedziesz. Ha! ha! Pruszkowski Tadzio kupił sobie aeroplan i lata. Dotąd nie wiedzieli ludzie, dlaczego tak straszliwe rzeczy dzieją się w atmosferze, a to matka natura ujrzała pucułowatą malarską gębę i oszalała na ten widok. Jest to pierwszy malarz, którego wpuścili w te anielskie okolice, bo dotąd każdy zlatywał stamtąd na twarz, czyli ładnie mówiąc, na pysk. Cała literatura siedzi w knajpie u Edzia Żelechowskiego i czeka na Ciebe, zabijając czas niewinnem pijaństwem, bo trzy czy cztery butelki na osobę, to przecie — jak sam wiesz — naparstek. Tylko, że z kredytem coraz gorzej. Żelechowski zrobił się taki opryszek, że chce, abyśmy odrazu płacili. Przyjedź, aby zrobić z nim porządek.

O, Fałacie, przyjacielu słodki! „Weź łoże swoje, wstań, a chodź!" Przedtem, sądzę, spotkamy się we Florencji; pamiętaj: Via Tavolini 4, kelner Ernesto, kucharz — psia kość! — aż Dante. Najlepsza fasola we Florencji, oliwa wyborna, a czerwone wino z Werony, że tylko oszaleć. U Lampiego też można... Gdybyśmy się nie spotkali, zapytaj policjanta, czy nie widział przypadkiem szczęśliwego Polaka, co się sam do siebie śmieje? Wtedy mnie znajdziesz.

Posyłam Ci książkę, abyś się uśmiechnął. Nikt się tak nie uśmiecha, jak Ty, o, Promienisty, nikt bowiem tyle radości, co Ty, w sercu swojem niema. Niech Cię przeto ten uśmiech uzdrowi! Wszyscy malarze powtarzają za mną te słowa, dobre, najlepsze chłopy. Pysk jeden z drugim ma wyparzony, ale serce złote, więc Cię miłują i wielbią. Śmiem wątpić, czy niebo pragnęłoby wojny z taką potencją, więc Ci poślę złoty uśmiech, słońcu każe dłużej przystanąć co dnia nad Bystrą, chmury rozpędzi do czorta i pogodą Cię promienistą otoczy, słodką pogodą, taką, jaką Ty masz w duszy.

Tedy odpisz mi zaraz, że już jesteś zdrów, i że się zabierasz do malowania. Niema rady! Fałatowi nie wolno się pieścić, bo musi jeszcze namalować wiele śniegów i wiele mgieł i wiele cudów i jedną gęz okropną: moją gębę. Obiecałeś, a ja nie ustąpię. Pisz prędko, bo muszę donieść wszystkim, że Fałat jest zdrów, jak lew, co się z pędzlem wybiera na.. łosia. Ha! ha!

Całuję Cię mocno i ściskam, jak pijak butelkę. A wraz ze mną sto tysięcy luda czyni radosny wrzask na cześć Twoją i list ten obiema rękami podpisuje imieniem i nazwiskiem. Trzymaj ten list daleko od siebie, bo Ci uszy spuchną od okrzyku: „Niech żyje Fałat!"

Z tym okrzykiem łączy się redakcja „Świata". Niech żyje Fałat, niech żyje nam długo jeszcze i zdrowo.



PRZY WZNIESIENIU SIĘ NA WIELKIE WYSOKOŚCI LOTNIK POSŁUGUJE SIĘ MASKĄ OCHRONNĄ I REZERWOAREM ZGĘSZCZONEGO POWIETRZA.



ŁÓDŹ MOTOROWA S. W., NA KTÓREJ ANGLIK WEBSTERN ZYSKAŁ NA KONKURSIE W WENECJI I-SZĄ NAGRODĘ, OSIĄGAJĄC NIEPRAWDOPODOBNĄ SZYBKOŚĆ 465 KIL. NA GODZINĘ

PASAŻEROWIE WIELKICH SAMOLOTÓW NIE TRACĄ CZASU PODCZAS PODRÓŻY. TOWARZYSZĄCE IM DAKTYLOGRAFKI ZAŁATWIAJĄ BIEŻĄCĄ KORESPONDENCJĘ POD DYKTANDEM.

ZE SZTUKI POLSKIEJ: DRZEWORYTY T. KULISIEWICZA



CHATA GÓRALSKA



GÓRALKA Z RÓŻAŃCEM

ZDJĘCIE Z KRZYŻA

vestris", albo: „Facite judicium et justicium et diligete pauperes".

Od roku 1848 wprowadzono sztandar trójkolorowy, który od roku 1867 znajduje się w królewskiej zbrojowni w Turynie. Po roku siedemdziesiątym gwardja królewska stała się stróżem sztandaru królewskiego, koloru niebieskiego, z czarnym orłem sabaudzkim, na piersi którego znajduje się biały krzyż w czerwonem polu; na czterech rogach mieści się korona królewska.

Początkowo gwardja książąt sabaudzkich nie posiadała specjalnego uniformu, tylko szarfę niebieską; z biegiem lat je-



GWARDJA W STROJU GALOWYM

WŁOSKA GWARDJA KRÓLEWSKA

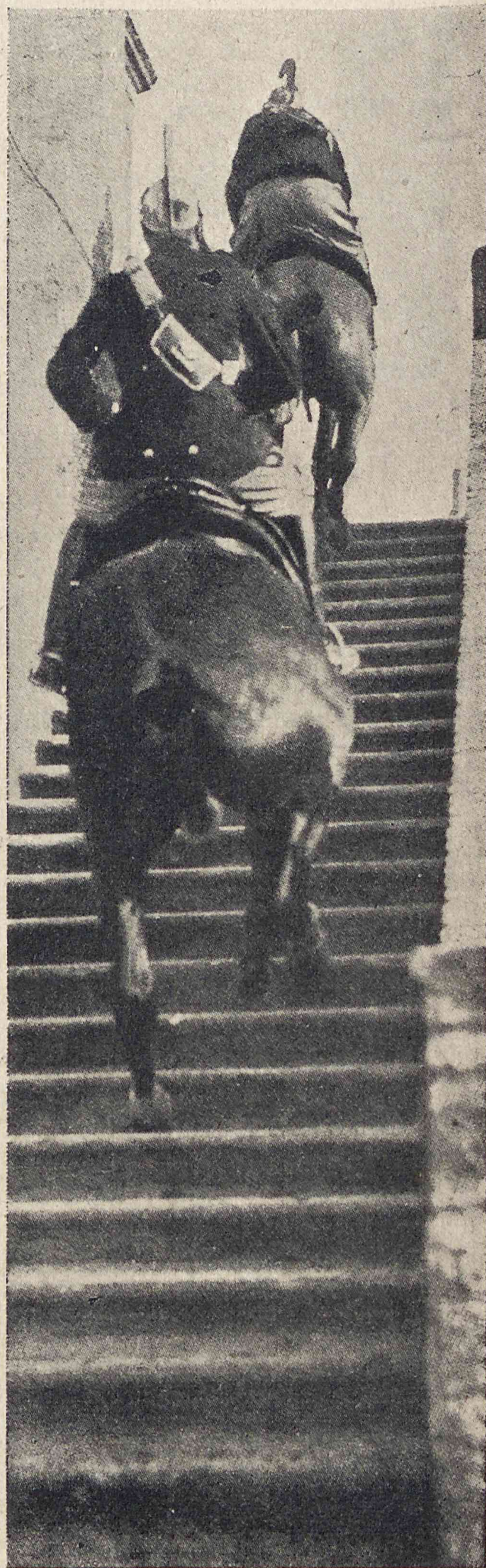
Historja gwardji królewskiej sięga roku 1560, ale właściwie już książę sabaudzki Amadeo VIII w wieku piętnastym posiadał własną gwardję, złożoną z sześćdziesięciu łuczników na koniach. Emanuel Filiberto, którego czterechsetlecie urodzin obchodzono nader uroczyście w Turynie w roku ubiegłym, nadał gwardji specjalne przywileje z tytułem: „Guardia del corpo a cavallo dei Sovrani di Savoia"; według kronik wojskowych, puszkarze księcia Emanuela Filiberta zaopatrzeni byli już w roku 1575 w strzelby, jakie zwyczajni żołnierze piemontyńscy otrzymali dopiero w sto lat później. W gwardji królewskiej służyli kolejno hiszpanie, francuzi i szwajcarzy (z kantonów katolickich), których zadaniem było przedewszystkiem czuwanie nad domem królewskim.

W ciągu wieków gwardja zmieniała wielokrotnie swą liczbę i zadania, aż wkońcu, w roku 1793, gdy francuzi zajęli Piemont, zakończyła swe wielowiekowe istnienie. Po przejściu fali francuskiej i austrjackiej następuje w okresie Restauracji rekonstrukcja korpusu gwardji, który się składał wówczas z czterech kompanji na koniach, posiadając cztery barwy dystynkcji: niebieską, czerwoną, białą i żółtą. Później w roku 1831 ze względów oszczędnościowych zniesiono owe cztery kompanje, wprowadzając w ich miejsce tylko jedną. Z czasem w związku z niepomyślnemi wydarzeniami wojennemi znika gwardja całkowicie w roku 1867, by już w rok później na rozkaz ministra wojny ożyć we Florencji, tworząc oddział do czuwania nad świeżo poślubioną parą małżeńską: Humbertem i Margeritą sabaudzką. W roku zaś 1871 część gwardji przeszla wraz z królem Wiktorem Emanuelem do Rzymu, w parę lat później cała gwardja rozmieściła się w pobliżu Kwirynału.



SZTANDAR GWARDJI

Również sztandar włoskiej gwardji królewskiej ulegał ustawicznym zmianom. W wieku szesnastym była to chorągiew kwadratowa koloru niebieskiego ze złotą frendzlą. Po jednej stronie znajdowała się tarcza, po drugiej zaś podobizna księcia sabaudzkiego, Amadeusza IX, rozdającego jałmużnę. W miarę zmian korpusu zmieniały się też sztandary, które miały coraz to inne emblematy i napisy łacińskie: „Facite judicium et justiciam et Deus dabit pax in finibus

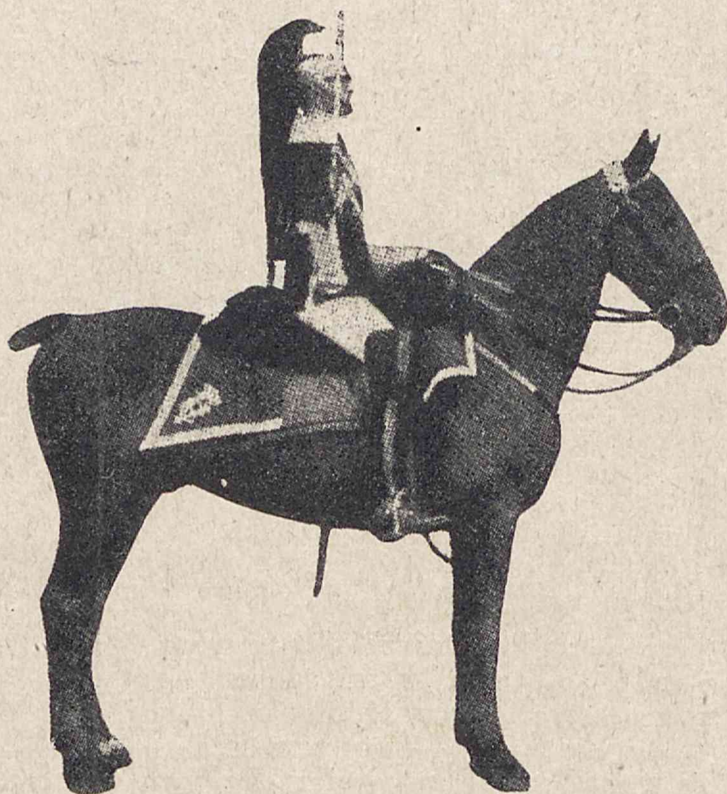


NA ULICY W NEAPOLU

WŁOSKA GWARDJA KRÓLEWSKA



PŁASZCZ



W PEŁNEJ GALI NA KONIU



DOBOSZ

dnak jej strój ulegał licznym zmianom. Obecnie gwardja królewska w Rzymie posiada pięć rodzajów mundurów z grzywą czarną lub białą na hełmie, zależnie od rodzaju broni.

Nad wyraz efektowny jest strój królewskiej gwardji włoskiej, imponująco wygląda oddział gwardji w paradzie, gdy błyszczące hełmy z pióropuszami połyskują w jasnem słońcu. Ale jaki ciężki jest ten strój! Pancerz wraz z hełmem waży przeszło dziesięć kilogramów, a szabla ma metr i piętnaście centymetrów długości.

Komendantami gwardji bywali zazwyczaj książęta, hrabiowie i baronowie. Zadaniem gwardji jest czuwanie nad bezpieczeństwem króla i rodziny królewskiej. Niejednokrotnie gwardja odpierała zwycięsko zamachy na króla Humberta i Wiktora Emanuela. Wogóle gwardja bywa nieraz narażana na wielkie niebezpieczeństwo i na przezwyciężanie ogromnych przeszkód. Doskonale jednak podołają wszelkim trudom ci żołnierze, świetnie wysportowani i o wzroście, wynoszącym przeważnie metr dziewięćdziesiąt centymetrów; są pewne oddziały, sięgające nawet przeszło dwa metry wzrostu.

S.

NOWY WYBUCH WEZUWJUSZA



ZROZPACZENI MIESZKAŃCY ZAGROŻONEJ MIEJSCOWOŚCI OPUSZCZAJĄ SWE SIEDZIBY.



DYMIĄCE POTOKI LAWY PODPŁYWAJĄ KU WIOSCE TERZINO.



ODCZYT PROFESORA E. FISCHERA Z BERNU NA OGÓLNEJ WERENDZIE SANATORJUM



SANATORJUM UNIWERSYTECKIE STUDENTÓW SZWAJCARSKICH

MIĘDZYNARODOWE SANATORJUM STUDENCKIE

Profesor Dr. R. Fueter, opisując niedawne swoje odwiedziny w sanatorjum uniwersyteckiem w Leysin, zaczyna od następujących słów: „Kiedy przypomnę sobie te cztery dni, spędzone w Leysin, pobyt mój pomiędzy chorymi, a niekiedy ciężko chorymi studentami, w atmosferze najdoskonalszej harmonji, gdzie niema przystępu rezygnacja lub zwątpienie, wydaje mi się być ważkiem przeżyciem. Nie zdarzyło mi się słyszeć sarkań na los, ze wszystkich twarzy czytałem wiarę w życie".

Przypomniały mi te słowa moją własną parodniową wycieczkę do Leysin. W czarującym zakątku, wśród Alp, wśród lasów i gór, oblanych słońcem, wśród nieodłącznej gór towarzyszki — ciszy — ciągną się w świeżem, przeźroczystem powietrzu, ku południu zwrócone, szeregi klinik, a na werandach leżą godzinami całemi chorzy, oczekując w bezruchu, aż słońce i powietrze usuną z ich organizmów gruźlicę.

Najładniejszy dom wśród lecznic ma, na jasnej ścianie, zwróconej ku stacji, pnącej się w górę, zębatej kolejki, napis: *Le Sanatorium Universitaire de Leysin.* Kiedy wchodziłem do sanatorjum, w którym zdrowia szukają młodzi ludzie, oderwani od studjów i sal wykładowych, od niefrasobliwego, szumnego, studenckiego życia, lękałem się, że ujrzę snujących się apatycznie młodych starców, wykolejonych neurasteników lub w najlepszym razie ludzi o cierpliwej rezygnacji. Okazało się jednak, że studenterji nic nie zmoże — nawet gruźlica.

Była to właśnie godzina wolna, t. zn. nie obowiązywało werendowanie. Gramofon grał, a wkoło bieganina, śmiechy, żarty. Nigdzie ani śladu cierpiętnictwa. Zaczynam rozmowę z jednym z młodych.

— Pana, zdaje się, dziwi, że u nas jest tak niefrasobliwie?... Wtajemniczę pana w nasze życie. Wstajemy wcześnie i zaraz po śniadaniu werendujemy. Przed obiadem najczęściej gramy w bridgea, po obiedzie krótki spacer — bo my tu dbamy o linję, roztylibyśmy się od ciągłego bezruchu — po przechadzce dwie godziny bezwzględnej ciszy i werendowania, po którem wolni jesteśmy do kolacji, poczem mała pogawędka, a o wpół do dziesiątej gaszenie świateł. Powie pan, że jest to tryb życia jednostajny i nudny — zgoda — ale my przyjeżdżamy tu na leczenie, a nie na zabawę.

Gdy zapytałem o studja, usłyszałem w odpowiedzi:

— Ależ my studjujemy. Jeden z pańskich rodaków, lecząc się, przygotował się do doktoratu. Kiedy się leży tyle godzin, można łatwo więcej przeczytać niż w studenckiej knajpce. Pozatem przyjeżdżają do nas regularnie profesorowie ze wszystkich wszechnic szwajcarskich, którzy mają wykłady i odbywają z nami seminarja. Bezwzględnie najgorzej jest tym, którzy z racji swego fakultetu potrzebują pracy laboratoryjnej, ale i na to zaradzono, mamy bowiem na miejscu, poza wyczerpującą bibljoteką, również laboratorja. Jak pan więc widzi, dbają tu nietylko o nasze zdrowie, ale i o studja.

Rozmowę naszą przerwał triumfalny okrzyk i po chwili, otoczony młodzieżą, wyszedł na ogólną werendę Dr. Ludwik Vauthier.

O tym człowieku wartoby powieść napisać, bo życie jego jest jednem wielkiem poświęceniem dla umiłowanego ideału — uzdrawiania młodzieży. Sanatorjum uniwersyteckie stworzył wielką zapobiegliwością i przekonawszy się o dodatnich rezultatach, postanowił wybudować nowe, już nietylko dla studentów wyższych szkół szwajcarskich, ale dla studentów wszystkich państw.

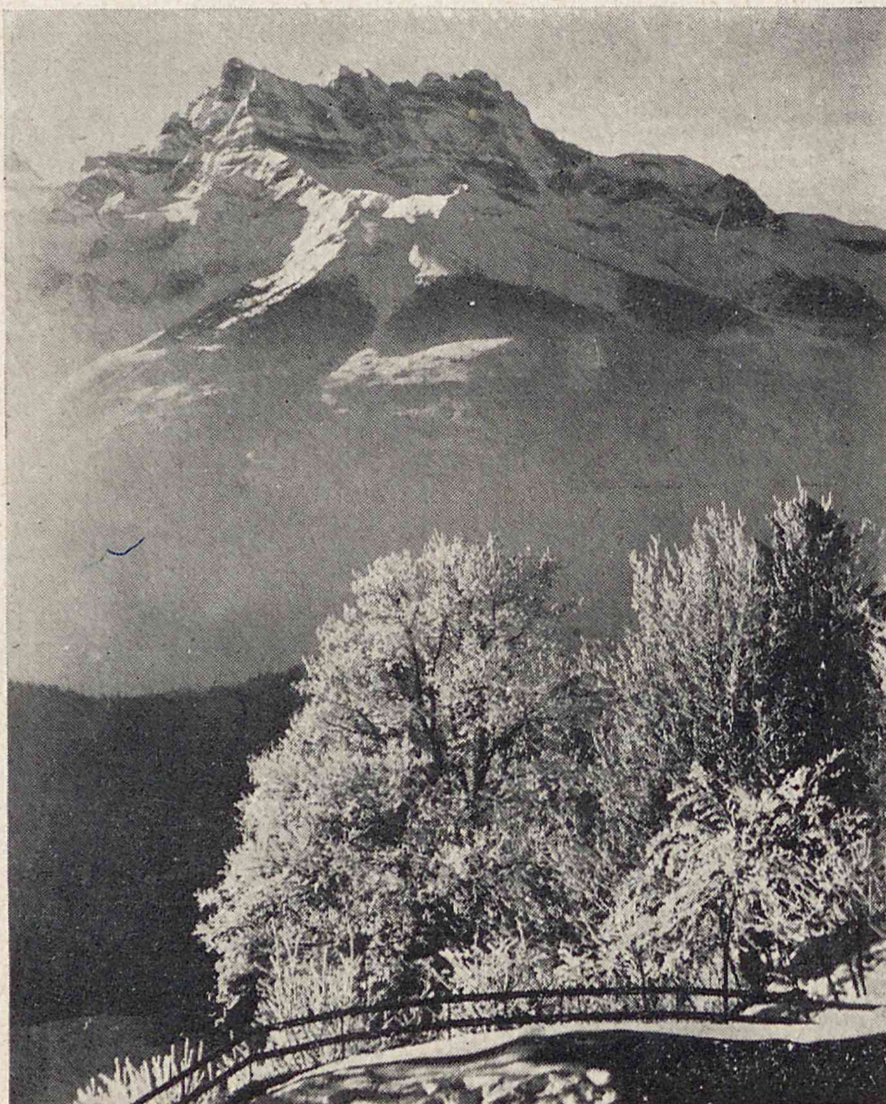
Rzecz została pomyślana w ten sposób, że każde państwo zakupuje pewną ilość łóżek. Współpraca narodów nigdzie chyba nie może znaleźć tak pięknego i wdzięcznego pola do pracy jak tu właśnie.

Jak wiadomo z doniesień prasy Dr. Vauthier zainteresował również rząd polski tą sprawą.

Już obecne sanatorjum przyjmuje w miarę wolnych miejsc młodzież studencką z innych państw. Nie bez znaczenia pozostaje wpływ obcowania młodzieży z kolegami o różnorodnych kulturach, tradycjach i pojęciach.

A kiedy powstanie sanatorjum międzynarodowe, to ta młoda Liga Narodów ludzi, myślących poważnie o konieczności dbania o swe zdrowie, będzie miała dużo do zawdzięczenia inicjatywie Dra Vauthier.

Janusz Makarczyk



WIDOK Z PRZYSZŁEGO SANATORJUM MIĘDZYNARODOWEGO DLA STUDENTÓW



PP. MODRZEWSKA, MAŁKOWSKI, STĘPOWSKI, FRYTSZE, BUSZYŃSKI, SAMBORSKI, SZUBERT, KRZEWIŃSKI I KUNINA
Fot. St. Brzozowski

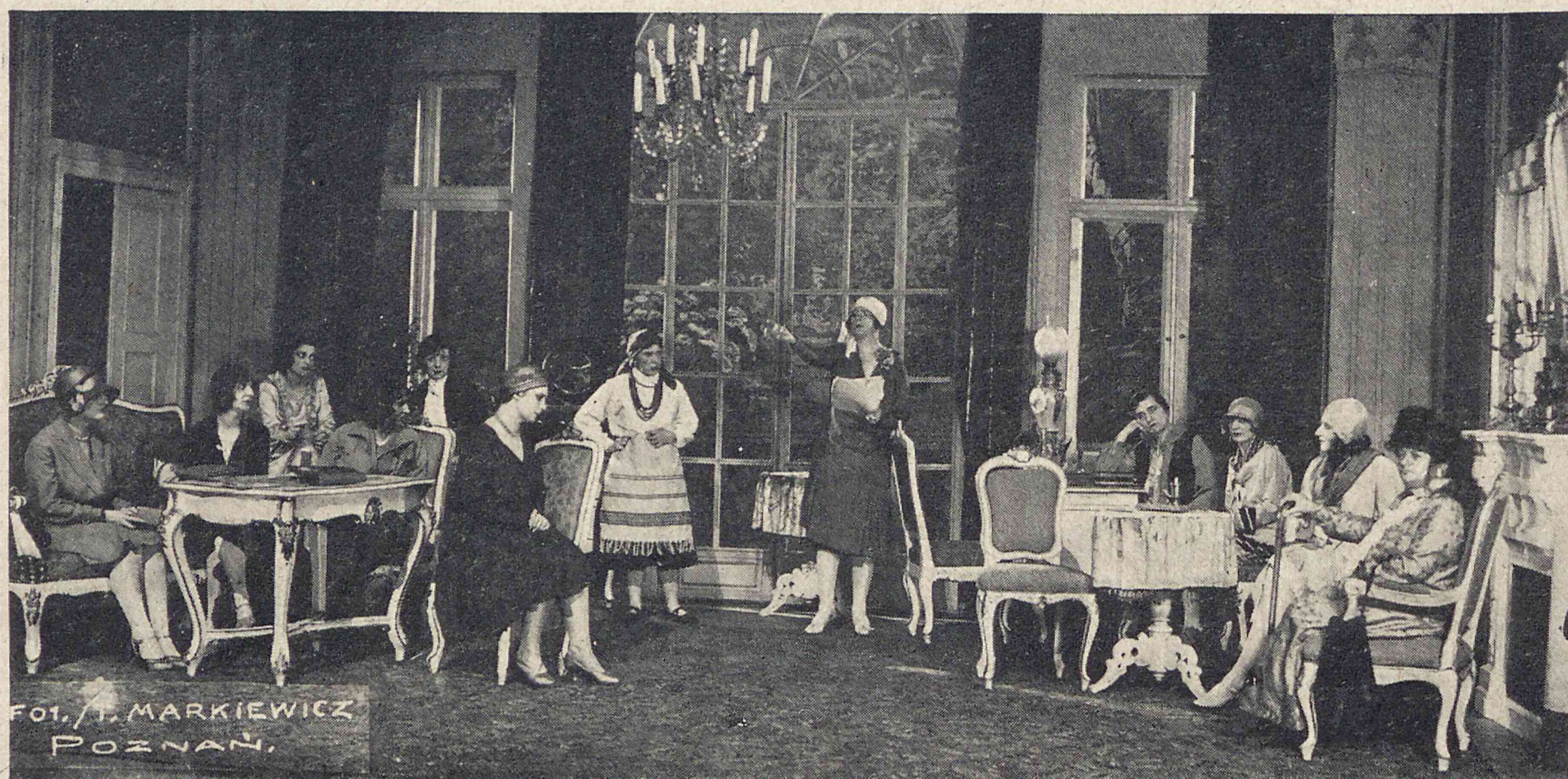
WIELKI KRAM

Ostatnia komedja Bernarda Shaw to zabawa, godna bogów. Inna rzecz, że na tej komedji słabo się bawią bohaterowie dzisiejszych demokracji. Prawdziwi demokraci, to jest ludzie, otrzymujący władzę z rąk ludu dzięki powszechnemu, równemu etc. głosowaniu podczas wyborów do Sejmu, muszą z rozgoryczeniem i, jak oni to z pewnością określają, z głębokim niesmakiem słuchać *Wielkiego kramu,* w którym socjalista Bernard Shaw rzeczywistym obrońcą ludu przed aferzystostwem menerów partyjnych, obrońcą życia rodzinnego, starej kultury i nowej istotnej cywilizacji, czyni króla. I nie dlatego tak czyni, że taka jest jego autorska fantazja, ale dlatego, że takim właśnie szlakiem toczy się historja z jej wielkim przemysłem, rozwojem technicznym, rozkwitem związków zawodowych, elefantiazisem prasy... Miejsce dawnego monarchy - samoluba, wyzyskującego naród, zajęli ministrowie konstytucyjni, wyłonieni ze związków zawodowych. Z pradawnem obłudnem hasłem monarszem na ustach „wszystko dla dobra ludu", pragną być ciałem samowładnem, nieograniczonem przez żadne prerogatywy panującego władcy konstytucyjnego. Ten władca ma istnieć wyłącznie dla ich wygody.

W djalogach prawdziwie subtelnych i dramatycznych Bernard Shaw ujawnia nicość ministrów parlamentarnych i fałsz parlamentarnego gabinetu. Tylko król w tej konstytucyjnej · monarchji reprezentuje wartości idealne, powiedziałbym — piękno życia: honor, rycerskość, dobre wychowanie, poczucie śmieszności, pogodę ducha. Król Magnus w całem tego słowa znaczeniu jest człowiekiem porządnym, nie chciwym, mądrym i gentlemanem. Jego ministrowie, przedstawiciele ludowładztwa, są ludźmi może niepospolicie zręcznymi, ale uroda życia w nich się nie przejawia, są to karjerowicze, nie stać ich na bezinteresowność i na brak kabotynizmu. Są między nimi i ludzie przyzwoici, jak np. elektromistrzyni jeneralna, albo jeneralna pocztmistrzyni, ale stosunek pański do życia, polegający na tem, że się z usposobienia jest dającym, nie biorącym, widzimy tylko w królu Magnusie. Socjaliści całego świata będą mieli o to niebylejaki żal do socjalisty Shaw'a, zwłaszcza że najbardziej podkreślonego socjalistę śród ministrów gabinetu Proteusza, mianowicie ministra przemysłu i handlu, porywczego towarzysza Boanergesa, (p. Samborski) złośliwy autor zrobił cokolwiek ograniczonym. Pochodzi to zapewne stąd, że nikogo nie zna się tak dobrze, jak ludzi bliskich, z którymi się długo pracuje. Przypomnijmy sobie dzieła Anatola France'a. Ile ironji pod adresem rewolucjonistów znajdujemy w utworach tego rewolucjonisty! *Bunt aniołów,* powieść arcyznakomita, niedoceniona — mojem zdaniem — przez krytykę francuską, kończy się ni mniej, ni więcej, tylko wezwaniem, aby rewolucjoniści najpierw dokonali rewolucji w swoich duszach; dopiero po udaniu się tej wewnętrznej rewolucji może się udać rewolucja zewnętrzna. Tak mówi Lucyfer, uosobienie rewolucyjności. A Bernard Shaw powiedział już dawno: „Jak wielu zwolenników miałby socjalizm, gdyby nie socjaliści!" A Barbey d'Aurevilly, katolik wojujący, ileż to razy wprawiał w kłopot zacnych chrześcijan swojemi wystąpieniami literackiemi na rzecz religji rzymsko-katolickiej! W ten sam właśnie sposób genjalny komedjopisarz, Bernard Shaw, jest herezjarchą w kościele socjalistycznym. Doktryna socjalistyczna nie zasłania mu żywej rzeczywistości i ludzie rządzący się tą doktryną nie wydają mu się idealni, ba! sama doktryna nie stoi przed nim wyniośle, jak biały posąg Nieomylności. *Wielki kram* jest wielką i dowcipną krytyką parlamentaryzmu i stwierdza w sposób niezwykle artystyczny tę

NOWA SZTUKA AD. GRZYMAŁY SIEDLECKIEGO

Teatr Polski w Poznaniu wystawił trzyaktową, nową krotochwilę Adama Grzymały Siedleckiego p. t. „Maman do wzięcia". Niefrasobliwy, szczery humor tej komedji odniósł kapitalne zwycięstwo. „Maman do wzięcia" zyskała wielkie powodzenie, z którem zapewne wkrótce obiegnie wszystkie większe teatry komedjowe w Polsce.



„MAMAN DO WZIĘCIA" KROTOCHWILA W 3 AKTACH, AKT II, SCENA ZBIOROWA

niezbitą oczywistość, tak zakrzyczaną dzisiaj przez programy partyj demokratycznych, że aż zapomnianą, mianowicie stwierdza... nierówność ludzi. Naturalnie, że wszyscy o tem zawsze wiedzieli i, po zapoznaniu się z ostatnią sztuką Shaw'a, każdy robi mędrca, wołając: „Wiadomo! W najdemokratyczniejszem społeczeństwie rodzą się geniusze i kretyni!" Owszem, wiadomo, ale głośne wyznawanie tej elementarnej prawdy uchodziło dotąd za nieprzyzwoitość i groziło jej wyznawcy zdegradowaniem go do rzędu ludzi niecywilizowanych, albo conajmniej wczorajszych, zapóźnionych. Rodzą się wprawdzie pospołu geniusze i kretyni, ale jedni i drudzy, w imię szlachetnej cywilizacji są absolutnie równi wobec prawa. Jakie to wzruszające! A oto demokrata Bernard Shaw „nielojalnie" unaocznia, że arystokratyczny pierwiastek tęgiego charakteru i potężnego rozumu kpi sobie z proklamowanego i obowiązującego prawa równości demokratycznej i że nawet w granicach tego prawa umie wyrastać nad to prawo, i że dzieje się tak: na szczęście! Że istotną wartość życiu nadaje arystokratyczny pierwiastek geniuszu i piękna!

Wacław Grubiński

DROBIAZGI TEATRALNE

ZATARG DYREKTORÓW Z ZASP-em

Związek Artystów Scen Polskich postanowił wybudować „Dom Aktora", — gmach, w którym mieściłaby się siedziba Związku, hotel dla członków, sala teatralna, wytwórnia kinematograficzna... Kosztorys oznaczono na 5 miljonów złotych. A środki? Twórcom projektu sprawa wydała się łatwa. Opodatkować bilety teatralne. Zapłaci publiczność.

Dyrektorzy zaoponowali. Uważają, że ZASP nie ma prawa w ich teatrach ustanawiać i pobierać jakichkolwiek podatków. Dlaczegóżby bowiem z takiem samem żądaniem nie mieli wystąpić autorzy dramatyczni, znajdujący się przeważnie w znacznie gorszem położeniu materjalnem niż artyści. A potem służba techniczna, muzycy. Tylko pierwszy krok kosztuje.

Wobec sprzeciwu dyrektorów ZASP zabronił swoim członkom podpisywać nowe umowy. Tu znów aktorzy niezbyt się kwapili pójść za wskazaniami swego synhedrjonu. Kontrakty przeważnie zostały przedłużone trybem automatycznym. Opinja tym razem sprawiła Związkowi Artystów Scen Polskich zawód. Nie stanęła po jego stronie. Opinja publiczna zaczyna się niepokoić poczynaniami Związku, który usiłuje nadać sobie cechy zrzeszenia zawodowego. Jest że to możliwe przy tak nierównomiernem znaczeniu poszczególnych członków? Czyż może być mowa o rozstrzyganiu ważnych spraw większością głosów tam, gdzie równy głos mają mieć Frenkiel, Solski, Junosza, Węgrzyn — i nikomu nieznani prowincjonalni debiutanci. Ostatnie wystąpienia ZASP podważyły jego popularność. Tego rodzaju stowarzyszenie musi mieć kierowników bardzo taktownych, rozważnych, umiarkowanych. Radykalizm może okazać się złym doradcą.

NA LETNICH WYWCZASACH



ZNANY KOMPOZYTOR I KAPELMISTRZ EMIL MŁYNARSKI BAWI OBECNIE W UZDROWISKU PISZCZANY. (OBOK LEKARZ ZAKŁADOWY DR. ORAVETZ). Fot. Marjan Fuks

NA TORZE W EPSOM ROZEGRAŁO SIĘ W CZERWCU DOROCZNE DERBY, KTÓRE TYM RAZEM OBFITOWAŁO W NIESPODZIANKI I UPADKI JEŹDŹCÓW.



MODY MĘSKIE NA PLAŻY



NIEZWYKLE ORYGINALNA SUKNIA WIECZOROWA.

JÓZEF JANKOWSKI

„D U C H"

(Nowela).

Panna Dora Angorska, chociaż artystka operetki, jednak osoba bardzo solidna, była niepocieszona po śmierci swego bogatego kochanka. Żyła z nim szczęśliwie dwa lata, osypywana dosłownie klejnotami, futrami, sukniami i strojami. Urządził jej piękne mieszkanie, otoczył zbytkiem, spełniał wszystkie jej zachcianki, i byłaby osiągnęła niechybnie, że byłby się z nią ożenił, przełamawszy tradycje swego rodu. Śmierć wszystko zniweczyła. Pozostał jej na otarcie łez ten suty sznur pereł (prawdziwych) i spore puzderko z klejnotami, wartości paruset tysięcy. Zginął z wypadku podczas jazdy samochodem, w której ona, na szczęście czy na nieszczęście, nie uczestniczyła.

Po pierwszych tygodniach rozpaczy, nadszedł okres mistyczny. Panna Dora, żyjąc wciąż myślą o swym kochanku, zapragnęła komunikacji z nim namacalnej. Czytała trochę książek okultystycznych i wierzyła w możliwość materjalizacji ducha swego ukochanego. Jakżeby on nie przyszedł do niej po śmierci, on, który, skoro za życia raz przylgnął do jej ciała, nie mógł się już od niego odlepić? Przecie musi tęsknić do niej, jak ona tu tęskni do niego, i ta właśnie tęsknota da mu możność oblec się w ciało i przyjść do niej. Bo bardzo go potrzebuje, potrzebuje fizycznie, miłośnie. Cóż w tem dziwnego? Po pierwszych wybuchach rozpaczy, wraz z pewną równowagą powrócił war dawny krwi młodej, krwi żądnej, pragnącej zaspokojeń miłosnych. Krew ma swe prawa, do których nawykła... Przecie nie może go zdradzać w kilka tygodni po śmierci... Nie, nie zdradzi go! Więc przyjdzie, przyjść musi koniecznie... Przyjdzie, jak za życia, podzieli jej miłość... Upieści, ukoi... nasyci...

Panna Dora nie chciała się wdawać — to słuszna — w seanse spirytystyczne z medjami w kole uczestników. Nie chciała ani sama się brukać, ocierając się o byle jakie medjum publiczne, ani brukać ducha swego kochanka w ocieraniu się o byle jaką hołotę zmaterjalizowaną. Miała w tem swój wykwint. Wolała tedy działać na własną rękę, i była pewna, że dopnie swego. Bo czegoż ona nie dopięła w życiu, gdyż bardzo chciała!

Od kilku więc dni, panna Dora praktykuje codziennie swe misterjum komunikacji z duchem ukochanego. Kładzie się przed północą (wie, że duchy lubią się zjawiać o północy), gasi światło i w ciemności, leżąc nawznak z zamkniętemi oczyma, nastraja się odpowiednio. Natęża wolę, odrywa, by tak rzec, swą świadomość powszednią od ciała, tyle tylko zostawiając nikłego jej światełka, ile potrzeba do ogarniania zachodzących w niej wrażeń, resztę siebie stężając, dynamizując, astralizując, stając się niejako jedną siłą żywiołową, kosmiczną. Jest to najlepszy sposób zbliżenia się do duchów. Miała już pewne rezultaty z tego. Przyśnił się jej dwa razy i obcował z nią we śnie, ale to dlatego tylko tyle, że nie mogła dość długo utrzymać czujnego światełka świadomości i zasnęła. Ale się wzwyczai w jej utrzymywanie, i będzie go miała namacalnie z poczuciem świadomości. Cała sztuka — żeby spać, niejako czuwając, i czuwać, niejako śpiąc. Czuła już nawet w tym stanie pewne powiewy — oznaka niezawodna zbliżającego się ducha — czuła jakgdyby puch spadający na ciało obnażone, budzący rozkoszne dreszcze. Niestety, znowu zasnęła, gubiąc świadomość.

Dnia tego, kiedy nastąpił zjaw, o którym chcę napisać, panna Dora powróciła przed jedenastą od swej przyjaciółki i poczęła się przygotowywać do swych tajemniczych praktyk. Przeszła ze swej sypialni do przyległego bawialnego pokoju, przez pewien czas chodziła tam, uspasabiając się i od czasu do czasu przystając przed dużym portretem, by z niego się pamięcią żywą zmarłego nasycić. Potem wróciła do swej sypialni i zapaliła kadzidło, które duchy przyciąga. Potem jeszcze, natchnieniem ruszona, udała się dalszego pokoju i przyniosła z niego całe naręcze ubrań zmarłego, które pozostały po nim w szafie pokoju, gdzie mieszkał. Wiedziała, że emanacje z tych ubrań będą dobrą przynętą dla ducha dawnego ich właściciela. Złożyła to wpobliżu swego łóżka. Potem wyszła na balkon.

Mieszkała na Polnej, na pierwszem piętrze. Z drugiej strony ulicy miała wysoki parkan i duże drzewo gęstoliściaste koło niego naprzeciw jej sypialni. Za parkanem rozległy plac wyścigowy pola mokotowskiego, na jego krańcu światła z hangarów przystani lotniczej, za nią jeszcze czerwone światła z wież antenowych radjostacji warszawskiej.

Noc była prześliczna, z rojem rozszemranych gwiazd, z sierpem misternym młodego księżyca na ciemnym szafirze tła — ciepła i uroczysta.

Patrzała chwilę w przestrzeń, nie myśląc o niczem, i z duszą niemą wróciła do swej sypialni.

Wtedy przyszła jej jeszcze szczęśliwa myśl do głowy. Otworzyła zamaskowane w ścianie schowanko, wyjęła z niego sporą kasetkę metalową, pełną klejnotów, otworzyła ją kluczykiem, podniosła pokrywę i złożyła to obok ubrania. Drogie kamienie — wiedziała to z książek okultystycznych — mają szczególną własność oddziaływania na duchy.

Po tych wszystkich zabiegach, cichutko i prędziutko rozebrała się — dołożyła jeszcze do klejnotów zdjęty z swej szyi sznur pereł — jak myszka, wsunęła się pod kołderkę i zgasiła światło. Biła właśnie dwunasta.

Leżała nawznak, z zamkniętemi oczyma, łowiąc pilnie wszelkie podmuchy i szmery. Wkrótce ciało poczęło tężeć rozkoszną niemocą. Świadomość roztapiała się błogo. Ale ją utrzymywała jeszcze jako tako.

Nagle usłyszała jakiś szmer — jakgdyby cicho stąpające kroki... To on... Zastygła w słodkiem oczekiwaniu. Jakieś powiewy... przez całe ciało przepłynął dreszcz gorącego pożądania... taki naglący... Nie śmiała otworzyć oczu — powieki zresztą już ciężyły i rozkosznie wraz z świadomością zapadały w męt dymnozłoty.

Ale co to? Skurczem wewnętrznym ściela się u samego serca chwilą oczekiwania... Na twarzy czuje... czuje wyraźnie obłok nalegający... wonny... słodki, zaborczy... Jest, jak Jo, do której spływa Jowisz rozkochany... Jeszcze miała moc rozchylić usta, by przyjąć pocałunek rajski — i zapadła w toń odmętną snu.

Kiedy się zbudziła rankiem z silnym bólem głowy, ruchem instynktownym ręki zrzuciwszy coś z swej twarzy, ujrzała na kołdrze leżącą nieznaną jej chusteczkę. Ujęła ją... Szła od niej jeszcze woń przykra narkotyku... Złem przeczuciem tknięta, wyskoczyła z łóżka i siadła na niem. Przetarła zamglone oczy — spojrzała wokół i przeraźliwie krzyknęła.

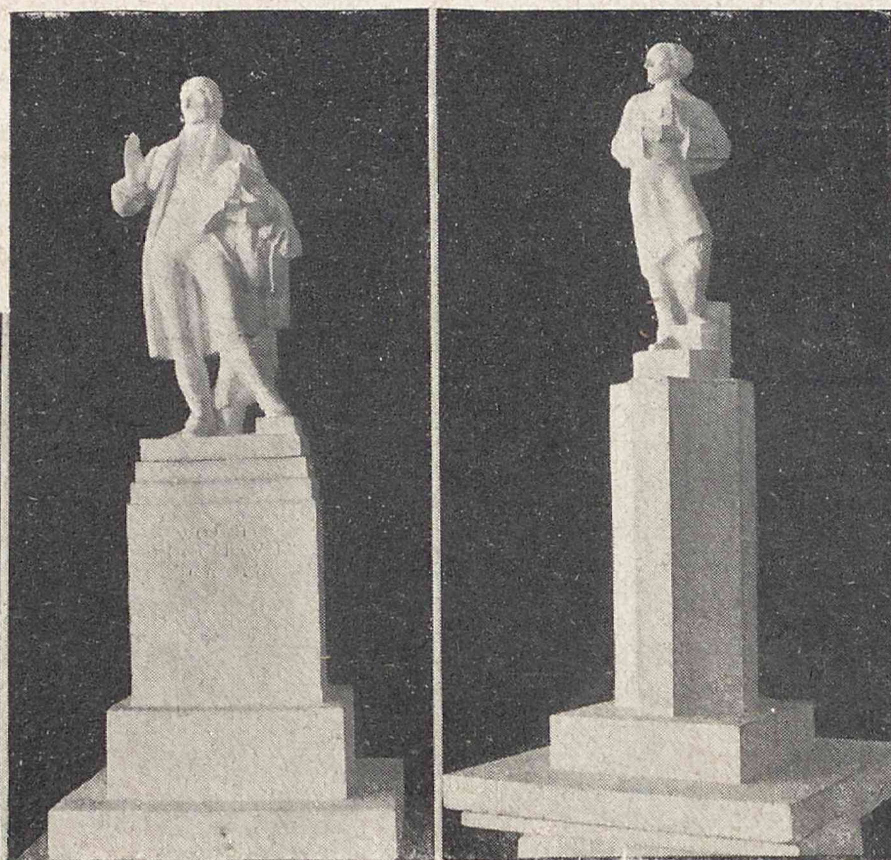
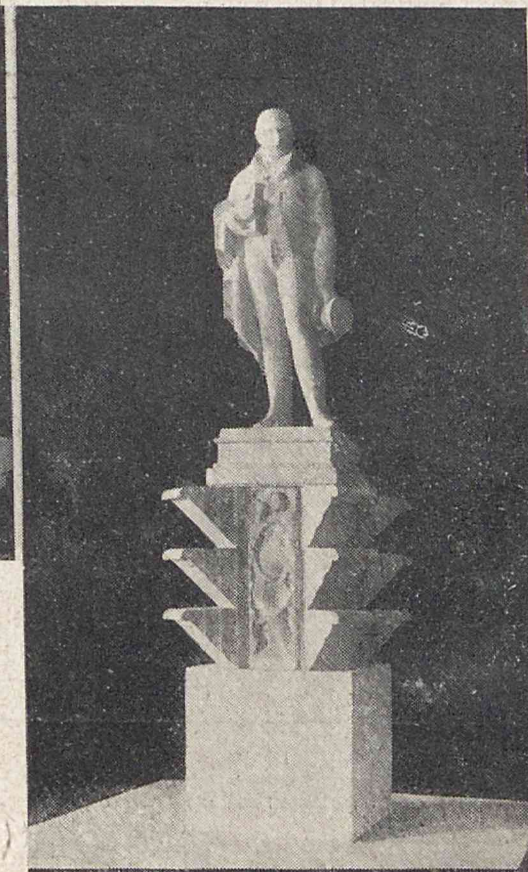
Przy łóżku nie było ani ubrania, które wczoraj naznosiła, ani nawet jej ubrania, ani — co najgorsze — kasetki z klejnotami, ani sznura pereł, ani żadnej rzeczy cennej naokół — wszystko zniknęło w sposób tajemniczy.

Tajemnicę wyświetliła policja, choć nie ujęła złodzieja. Siedział on na drzewie, podglądając wszystkie operacje panny Dory, i gdy zgasiła światło, przy pomocy swego wspólnika dostał się zdołu przez balkon, którego nie zamknęła, do tej sypialni, rzucił na jej twarz nasyconą narkotykiem chustkę i do szczętu ograbił ją.

Panna Dora wpadła w taką rozpacz, że zaraz nazajutrz rzuciła się w objęcia nowego bardzo bogatego młodzieńca, by stratę jaknajprędzej odrobić. I od tej pory nie bawi się już z duchami.



Konkurs na pomnik Bogusławskiego w Warszawie

III NAGRODA
PROJ. TADEUSZ BREYER

II NAGRODA
PROJ. JAN TCHOREK

Fot. Jan Malarski

IV NAGRODA
PROJ. ZYGMUNT OTTO

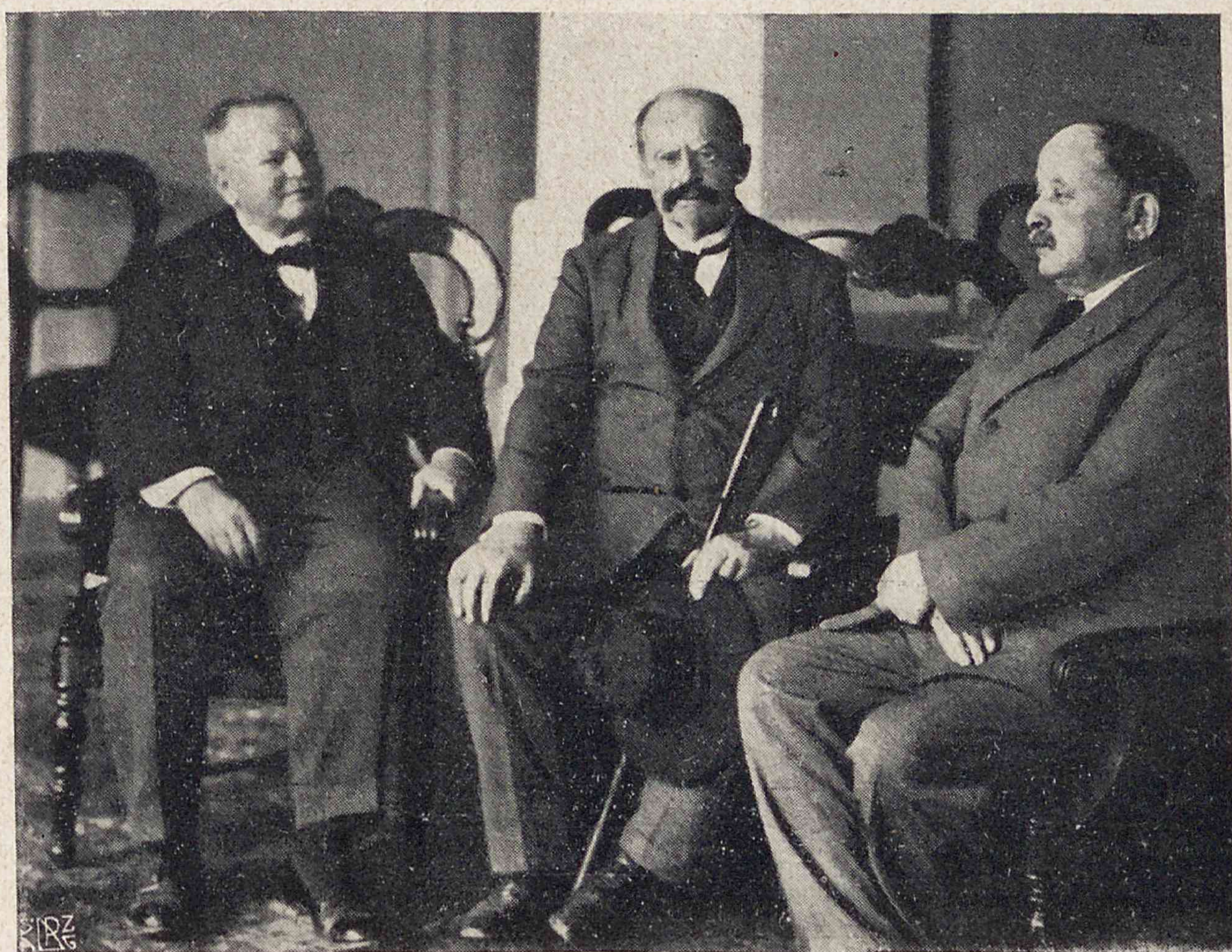
I NAGRODA
PROJ. JAN SZCZEPKOWSKI

Dziesięciolecie „Ruchu"

Tow. Księgarni kolejowych „Ruch" (S. A.) obchodziło w tym roku dziesiątą rocznicę swego istnienia. Na walnem zgromadzeniu akcjonarjuszów, które odbyło się przed dwoma tygodniami, stwierdzono dowodnie świetny stały rozwój tego przedsiębiorstwa. Właściwie, jest ono wielką kooperatywą wydawców księgarskich i czasopiśmienniczych. Współudział najwybitniejszych potentatów wydawniczych w Radzie Nadzorczej i w Zarządzie wydał dobre owoce. Najważniejszą jednak jest niewątpliwie okoliczność, że bezpośrednie kierownictwo „Ruchu" znalazło się w wyjątkowo odpowiednich rękach. Dwaj dyrektorzy Tow. „Ruch", pp. Tchorzewski i Godycki, odznaczają się niespożytą energją i rzadkiemi w Polsce zdolnościami organizacyjnemi. Posiadają zdrowy, niezachwiany optymizm, który sprawia, że idą wciąż naprzód, że „Ruch" jest w nieustannym procesie rozwojowym.

„Ruch" prowadzi obecnie 328 placówek sprzedaży czasopism i książek. Ta liczba świadczy o znaczeniu tego przedsiębiorstwa, nietylko z punktu widzenia finansowego, ale i — kulturalnego. „Ruch" niesie na najdalsze kresy pisma polskie i książki polskie. Nie cofa się przed stratami, gdy chodzi o interes kultury polskiej, zakłada swoje punkty sprzedaży tam nawet, gdzie one się nie mogą opłacić. Na taką akcję może sobie pozwolić tylko przedsiębiorstwo, posiadające takie środki, jakiemi dziś „Ruch" rozporządza, — i taką organizację. Tow. „Ruch" jest przykładem, jakie wyniki może osiągnąć inicjatywa prywatna, rozumnie przez odpowiednich ludzi ujęta i zrealizowana.

ZJAZD SOCJALISTYCZNY W WARSZAWIE



DNIA 17 CZERWCA PRZYBYŁ DO WARSZAWY WÓDZ SOCJALIZMU BELGIJSKIEGO B. MIN. SPRAW ZAGR. W BELGJI EMIL VANDERVELDE. W DZIEŃ PRZYJAZDU DO WARSZAWY ZŁOŻYŁ WIZYTĘ MARSZAŁKOWI SENATU. NA ZDJĘCIU NASZEM WIDOCZNI OD LEWEJ DO PRAWEJ: MARSZAŁEK SENATU SZYMAŃSKI, MIN. VANDERVELDE I WICEMARSZAŁEK SENATU STANISŁAW POSNER.



BARATAUD, „PIĘKNY" KAROL, NA ŁAWIE OSKARŻONYCH

PROCES BARATAUD

Sprawa młodego Barataud, syna zamożnego przemysłowca w Limoges, wywołała we Francji wielkie wrażenie. Barataud służył podczas wojny w wojsku, odznaczył się walecznością. Potem przebył jakiś czas w kolonjach. Wróciwszy do rodzinnego miasta, zaczął prowadzić życie hulaszcze, przyczem ujawniły się jego skłonności homoseksualne. Gdy ojciec nie chciał mu dawać na te wybryki pieniędzy, Barataud postanowił zdobyć większą sumę innym sposobem. Wymyśliwszy jakąś wielką aferę sprzedaży drzewa, sprowadził kupców, zaopatrzonych w gotówkę. Zamierzał ich wywieźć za miasto, w lasy, i tam ograbić. Chcąc wykonać swe plany, Barataud wynajął taksówkę, zamordował szofera. Zbrodnia okazała się bezcelową, kupcy nie wpadli w matnię. Barataud został aresztowany. Wówczas nastąpił najważniejszy wypadek: komisarz policji uległ prośbom znanego w całem Limoges „złotego młodzieńca" i pozwolił mu, pod strażą, udać się na parę godzin do jego prywatnego mieszkania. Tam na Barataud oczekiwał jego ukochany przyjaciel, — z którym łączyły go głośne w mieście związki. Po paru godzinach, gdy policjanci zaczęli się domagać, by powierzony im aresztant wracał do więzienia, rozległy się strzały. Barataud zabił przyjaciela. Twierdzi, że zamierzał sam popełnić samobójstwo. Zabrakło mu odwagi.

Proces był zawikłany, pełen niewyjaśnionych tajemnic. W grę weszły psychopatyczne instynkty oskarżonego. Wbrew oczekiwaniom, sąd przysięgłych skazał Barataud nie na śmierć, lecz na dożywotnie więzienie. Tłum, zebrany przed gmachem sądu, przyjął wyrok rykiem i gwizdem. Wołano: Barataud na gilotynę! Na śmierć. Usiłowano odbić mordercę. Trzeba było wezwać pomocy wojska, by rozpędzić wzburzoną ciżbę. Lecz względnie łagodny ten wyrok w całej Francji przyjęty został ze zdziwieniem.

DOOKOŁA EKRANU

(„Romans cygański". — „Mądre żony". — „Ojciec Sergjusz" z Mozżuchinem. — „Rycerz miłości" z Gretą Garbo i Larsem Hansonem. — „Golgota uczciwej kobiety").

Sezon letni zazwyczaj nie przynosi nic ciekawego bywalcom kinoteatrów. Ale i w tym okresie czasu zdarzają się filmy, godne uwagi, a niekiedy zabłyśnie na firmamencie kinematograficznym gwiazda pierwszej wielkości. I tym razem taki doskonały obraz, wyróżniający się z powodzi miernot, wydobyło z ukrycia „Casino".

Jest to film węgierski. Węgierski nietylko dlatego, że realizował go węgier Geza Bolvary, nietylko dlatego, że bohater jest porucznikiem huzarów węgierskich. Twórca obrazu nadał mu specyficzny koloryt, terenem akcji uczynił rozległe puszty węgierskie, miasteczka aż do stolicy — Budapesztu — włącznie i wsie. Kto miał sposobność poznać piękny kraj węgierski odnajdzie jego cechy charakterystyczne w tym ślicznym obrazku, tchnącym czarem niepospolitym.

W „Romansie cygańskim", taki bowiem tytuł nosi ten film węgierski, nie gra aktorów zajmuje nas przedewszystkiem. Największe wrażenie wywierają obrazy wsi węgierskiej, niezmierzone przestrzenie stepów z pasącemi się stadami wołów, tabunami źrebaków i gromadami owiec, epizody z życia mieszkańców tych uroczych zakątków, jarmark w miasteczku, zabawy ludowe i t. p. Te sceny, jak również sceny przy studni, ujęte nawskroś artystycznie, stanowią o powodzeniu filmu, który zresztą dobrze jest grany przez wszystkich wykonawców z Eweliną Holt, Elżbietą Pinajeff i Ivorem Novello, na czele. Film ten należałoby wznowić w sezonie jesiennym.

Dobrze skonstruowanym obrazem amerykańskim są „Mądre żony" wyświetlane w Wodewilu. Komedja współczesna, oparta na odwiecznym temacie stosunków pomiędzy mężem i żoną, kochającą go szczerze, a lekceważoną przez „pana stworzenia", który poszukuje odmiany i wpada w sidła płochej kokietki. „Mądra żona" ratuje jednak jego i siebie i odzyskuje miłość męża zręcznym fortelem. W roli żony bardzo dobra Philis Haver, znana z obrazu „Chicago". Jej partnerami są: Jacqueline Logan, Tom Moor i Józef Striker. Obraz wyszedł z wytwórni słynnego reżysera Cecila de Mille'a.

W „Tęczy" wznowiono dawno niegrany, a bardzo interesujący obraz „Ojciec Sergjusz" z Mozżuchinem. Jest to wersja filmowa głośnej powieści Lwa Tołstoja.

W „Splendidzie" słynna powieść Selmy Lagerlöf „Gösta Berling" w przeróbce filmowej głośnego reżysera szwedzkiego Maurycego Stillera, który, porwany przez Hollywood, zrobił tam parę obrazów z Polą Negri, a w roku bieżącym powrócił do kraju i tam umarł przed kilku miesiącami ku wielkiemu żalowi wszystkich zwolenników filmu, umiejących ocenić wielki, jędrny talent tego nieprzeciętnego reżysera. Talent ten objawia się już w realizacji „Gösty Berlinga"; ujęto powieść w ramy mocnych, zwięzłych, surowych skrótów i stworzono groźny w swej niesamowitej prostocie, piękny obraz o nieprzemijającej wartości. W obrazie tym rozpoczęła karjerę filmową słynna artystka Greta Garbo i jej partner Lars Hanson. Wszyscy zresztą wykonawcy, jakkolwiek w grze ich znać jeszcze wpływ teatru, grają dobrze, a rola majorowej znalazła wprost świetną odtwórczynię.

W „Apollo" wznowiono głośny przed paru laty film Mozżuchina „Golgota uczciwej kobiety" z Heleną Darcy i Mikołajem Kolinem. Obraz jest zajmujący, pełen dramatycznych powikłań i dobrze pomyślanych sytuacyj, a gra aktorów — bardzo dobra.

Tadeusz Kończyc

ŚWIAT SAMOCHODOWY

LUDZIE I MASZYNY

VIII RAID AUTOMOBILKLUBU POLSKI

Im dalej na wschód, tem mniej samochodów!

Ten pozorny paradoks potwierdzają nielitościwe cyfry. Co mają wspólnego geograficzne kierunki stron świata ze statystyką ruchu automobilowego? Pozornie nic. Wsiądźmy do samochodu w Nowym Jorku i skierujmy go w kierunku wschodzącego słońca.

Podróż nasza będzie zabawna i pouczająca. Gdybyśmy zmusili wszystkich mieszkańców U. S. A. do gremjalnego zajęcia miejsc, okazałoby się, że cała ludność może odbyć wspólną przejażdżkę. Jeden samochód na 4 mieszkańców.

Dodajmy gazu maszynie. Oto kochana staruszka Europa.

We Francji na okrzyk: proszę zajmować miejsca, tylko 4 miljony „miłych" francuzów znalazłoby się w samochodach. W kraju wina, francuskich obcasów (też mieli co wymyślić?!) i hegemonji dewizowej, jedno auto wypada na 40 mieszkańców. Jakże daleko najbogatszej przed wojną Francji do amerykańskiego rekordu!?

Jedźmy dalej na „tajemniczy" wschód. Nad szarą, piaszczystą Wisełką sytuacja jeszcze smutniejsza. Oto olbrzymi tłum złożony z tysiąca tandetnie odzianych, niedokarmionych, często gęsto mocno brudnawych polonusów wybałusza zazdrośnie oczy na przejeżdżający samochód, jakby to był jakiś czarodziejski dywan z bajki, na którym tylko nieliczni „wybrani" pusząc się i nadymając ze swoich przywilejów mają prawo rozkosznie szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Biednych i smutnych gapiów ulicznych owiewa zapach benzyny, niebieska mgiełka gazów spalinowych drażni ich nosy, te „objektywne" smrody są dla nich nieustającą torturą. Muszą wywąchiwać, zamiast zostawiać je za sobą, mknąc w aucie, będącem dzisiaj na szerokim świecie przedmiotem pierwszej potrzeby i niezbędnym środkiem lokomocji.

Biadamy nad tymi sprawami w rozmowie z prezesem komisji sportowej Automobilklubu Polski, dyr. Regulskim, komandorem odbywającego się w tej chwili VIII-go, międzynarodowego raidu.

Wysokie cło i mizerna stopa życiowa zabijają ruch samochodowy w Polsce. Cło na samochody jest u nas częstokroć wyższe niż do wielu krajów posiadających przemysł automobilowy. Tymczasem odwrotnie powinno ono być minimalne, dopóki nie stworzymy własnego przemysłu. Cło liczy się u nas od wagi maszyny. To dobre dla pomarańcz! Rezultatem tego są zupełnie paradoksalne historje.

Za drogą a lekką maszynę płaci się mniejsze cło, niż za tanią, która dzięki niższej cenie i prymitywniejszemu wykończeniu jest cięższa.

I dlatego tani samochód jest w Polsce droższy, niż w innych państwach.

W całej Polsce mamy 30 tysięcy maszyn, gdy w N. Jorku jest ich 2 miljony.

Przyznajemy, że słabo się robi człowiekowi, gdy porówna te cyfry!

Ale komandor Regulski niema zbytniej ochoty do zastanawiania się nad tymi ponurymi sprawami.

W oczach błyskają mu „ogniki raidowe".

Za kilkanaście godzin dwadzieścia pięć wycackanych i wypielęgnowanych maszyn wyruszy z placu Piłsudskiego w ósmy raid na przestrzeni 3 tysięcy kilometrów!

Komandor Regulski żyje już tylko raidem. Furda zagadnienia ekonomiczne, cła, przemysły, stopy życiowe" i t. d.!

Niech inni rozwiązują te węzły gordyjskie. My jedziemy, walczymy, jesteśmy żywą propagandą automobilizmu, a niech tam sobie różne filozofy życiowe łamią głowy nad tem, żeby każdy Polak mógł mieć samochód!

VIII raid jest potężną imprezą międzynarodową o cechach wielkiego sportu. Wymaga od kierowcy kompletnej wszech-



RAID SAMOCHODOWY. MASZYNY RUSZAJĄ W DALEKĄ DROGĘ — Fot. Jan Ryś

stronności. Przez tydzień, codziennie od 350 — 450 km. to ciężka praca! Etapy są olbrzymie: Warszawa — Lwów — Nowy Sącz — Opawa — Praga — Poznań — Gdynia — Grudziądz — Warszawa. Osiągnięte wyniki kwalifikować będą na mistrza Polski. W tej chwili prowadzi w mistrzostwie młodzieniaszek Ripper, nowy talent wyrosły w blasku triumfów papy Rippera i jego historycznej Lancii.

Ach raidzie rozkoszny i przeklinany, dla jednych tragiczny, dla drugich tryumfalny!

Cicha, zawzięta walka kilkudziesięciu konkurentów na olbrzymich przestrzeniach!

Co chwilę tragikomiczne qui - pro - quo urozmaica ciężką pracę kierowców.

Pamiętacie tych zeszłorocznych francuzów na Renaultach!?

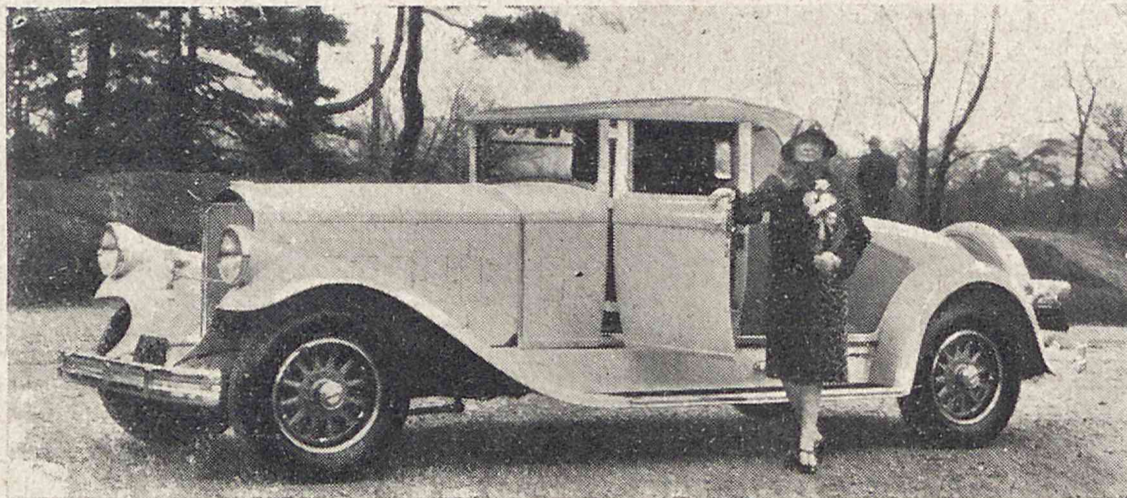
Świetni, doświadczeni kierowcy, zdobywcy wielu pierwszych nagród na szosach Marocco. To była prawdziwa Golgota, zwłaszcza dla nieszczęsnego Courtina.

Nie było etapu, na którym nie leżałby w rowie. Jeżeli nie wóz lub krowę, to przynajmniej jednego konia dziennie musiał mieć pod maszyną. Przód auta rozbity, tylne koło, założone prowizorycznie, spadało co kilka kilometrów ku uciesze rywali, skrzynka biegu nie funkcjonowała, tak że musiał kolanem przytrzymywać rączkę biegu, nie mógł nadążyć za innymi przy tym stanie maszyny, więc gnał dzień i noc, ale jechał bestja mimo to, raid skończył i stanął nawet do próby szybkości!

Nadludzkie siły, klasyczny przykład uporu!

Albo taka Luning, znana sportsmenka niemiecka. Uparła się jechać na dwuosobowym Steyerze bez mechanika. Kontrolerowi nie wolno pomagać. Zmienia koło. Poci się i skręca przy tej operacji. Nareszcie ktoś dyskretnie popchnął ramieniem. Nie widzieli!...

W Małopolsce pluta straszliwa. Błoto zalało chłodnicę, zaschło na skorupę. Poradzili oblać wodą. Zalała cały motor. Rozpacz. Rozbieraj, rozkręcaj. Suszyli nieszczęsną maszynę, jak koszulki na płocie.



SŁYNNA GWIAZDA OPEROWA MARY GARDEN ODBYWA PODRÓŻ PO EUROPIE NA SWYM NOWYM WOYIE PIERCE ARROW

Ale nie śmiej się dziadku... Każdemu coś się święci. Zawadjaka samochodowy — Zawadzki na Lancii wjechał sobie z fantazją na konia „od tyłu". Konisko rozsiadło mu się na skrzydle i ze strachu obkakało całą maszynę.

Powiadają, że to na szczęście, djabła tam! Z tem drogocennem szczęściem wyrżnął nasz Zawadzki w słup, tak, że z maszyny wióry poleciały, a nieszczęsny szczęściarz, wykonawszy przepisaną w takim wypadku ilość koziołków, pożegnał się z raidem, doznawszy na szczęście (jednakże dobra była wróżba) tylko lekkich uszkodzeń na duszy i ciele.

Lecz nie psujmy humoru kierowcom wybierającym się właśnie w podobną podróż z placu Piłsudskiego.

Gołowąs Ripper, niech mu to będzie policzone za zasługę, majstruje właśnie koło swojej dwucylindrowej Tatry. Trzepnął sobie jakby od niechcenia przeszło 300 km. z Krakowa do Warszawy w 5 godz. 40 min. i z poważną miną podaje maszynę operacji plombowania.

Zwykle jeździ na „minimum karoserji, maksimum podwozia". Tym razem próbuje szczęścia na wygodnej, ceperskiej czteroosobówce.

Nie lubi przyszły (miejmy nadzieję) mistrz Polski nadwiślańskiej stolicy, więc wyskoczył z Krakowa tylko na niezbędne ceregiele regulaminowe.

Warszawa niema zbyt wielu wielbicieli. Cóż na to poradzić, sama sobie winna. Lecz nie dziwimy się małopolskiemu tygrysowi automobilowemu. Po ślicznem Podkarpaciu, wielka i nudna wydma Kongresówki, nie smakuje. Mamy tutaj na myśli samochodowo widokowe apetyty... więc proszę, nie irytujcie się nałogowi warszawiacy!

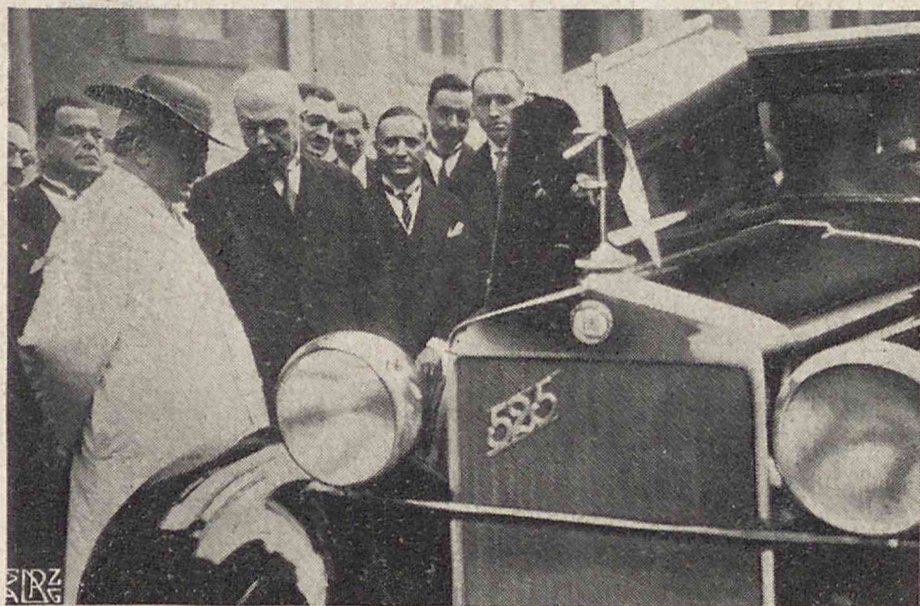
Ripper w glorji zwycięstw, wymawia ostatnie zaklęcia do swej Tatry, a na górze w Automobilklubie, inny Małopolanin — czarnowąsy Hemar zasiadł jak Batory pod Pskowem na wygodnym fotelu i bije się z myślami: jechać, czy nie jechać?

A więc nie wszystkim smakuje gimnastyka raidowa?

Tamtemu żywioł samochodowy tryska z każdego włosa, a ten linoskok dowcipu, ekwilibrysta humoru wolałby może właśnie w tej chwili znaleźć się w zacnej kompanji rozumiejącej czar prawdziwego dowcipu i przenicować na sto uciesznych kawałów cały ten raid huczny i buńczuczny.

Ripper i Hemar, oto klasyczna wielość rzeczywistości w nowem, raidowem ujęciu tej skomplikowanej koncepcji filozoficznej...

M. Rytard

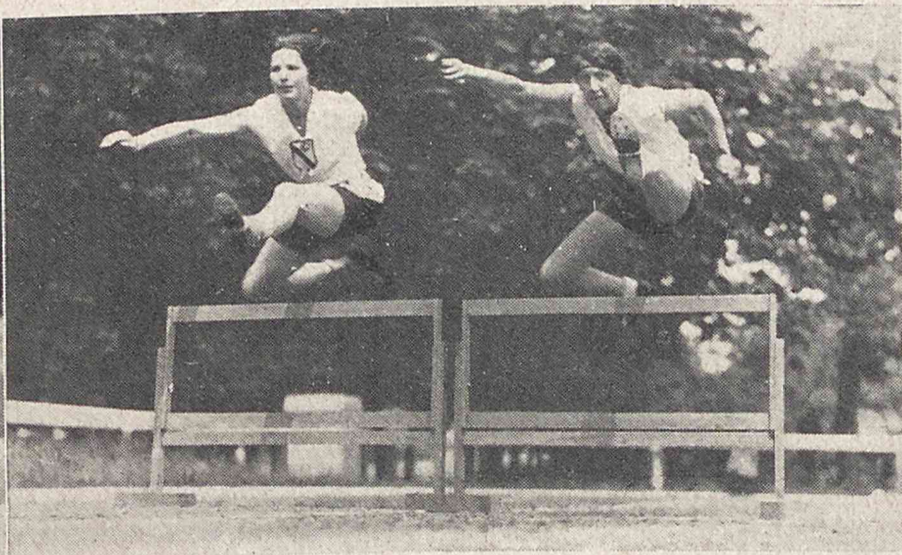




Wielka, turyńska firma samochodowa „Fiat", znana również i na naszym rynku, z okazji przywrócenia Państwa Kościelnego ofiarowała Ojcu Św. wspaniały samochód najnowszego modelu 525. Samochód ten, wspaniale wykończony w czerwonym kolorze, ze szczerozłotym herbem papieskim i przepiękną miniaturą św. Krzysztofa, patrona automobilistów, wystawiony był na widok publiczny w Rzymie, gdzie wzbudził olbrzymie zaciekawienie. W dniu 20 kwietnia r. b. miał miejsce oficjalny akt oddania samochodu Ojcu Św. przez prezesa Tow. „Fiat", senatora Agnelli. Zamieszczone fotografje ilustrują wjazd samochodu w bramy Watykanu oraz moment przyjęcia samochodu przez Ojca Św., który z zainteresowaniem słucha objaśnień senatora Agnelli.



SADKOWSKA W SKOKU W DAL



BIEG PAŃ 70 M. PRZEZ PŁOTKI. ZWYCIĘŻYŁA SCHABIŃSKA (LEGJA) Z LEWEJ Fot. R. Walter



START BIEGU 60 M.

KOBIECE MISTRZOSTWA WARSZAWY



KOBIELSKA (POLONIA) RZUT KULĄ

Fot. Jan Ryś.

JAN RIPPER Z KRAKOWA PRZYPUSZCZALNY ZWYCIĘZCA RAIDU



WIERA ZAHRADNIK, JEDYNA Z PAŃ W RAIDZIE AUT





DELEGAT PAŃSTWOWEJ RADY OCHRONY PRZYRODY NA POWIAT GRODZIEŃSKI P. CYTARZYŃSKI ZAOPIEKOWAŁ SIĘ RZADKIM OKAZEM CZARNEGO BOBRA, KTÓREGO ZRANILI I SCHWYTALI RYBACY Z ŁUNNY NAD NIEMNEM. RANNE ZWIERZĘ UMIESZCZONO TYMCZASOWO W OGRODZIE MIEJSKIM W GRODNIE

ŚMIERĆ GŁOŚNEGO POLITYKA WĘGIERSKIEGO



W BUDAPESZCIE ZMARŁ W TYCH DNIACH JULJUSZ HR. ANDRASSY, WIELKI PATRJOTA I MĄŻ STANU WĘGIERSKI, BYŁY MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH I OSTATNI MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH MONARCHJI AUSTRO-WĘGIERSKIEJ. BYŁ WIELKIM PRZYJACIELEM POLSKI I PRZEMAWIAŁ KILKA RAZY W SEJMIE WĘGIERSKIM W SPRAWIE POLSKIEJ

DROBIAZGI LITERACKIE

„Człowiek wieczny"

Odsłonięcie pomnika twórcy „Pana Tadeusza" spowodowało wydanie kilku propagandowych publikacji, przypominających społeczeństwu francuskiemu zasługi Adama Mickiewicza. Z przedmową p. Andrzeja Mazon'a ukazał się obszerny tom, złożony z wyboru pism prozaicznych, autora Ksiąg pielgrzymstwa. Dano w nim listy, wyjątki z różnych artykułów, prelekcji według układu „Do przyjaciół", „do pielgrzymów", „do uczniów". „do ludów".

Książka ta niewątpliwie przysłuży się sprawie popularyzacji ideałów Mickiewicza i zwróci uwagę na Polskę, której wodzem i żołnierzem był tu poeta. Wydano też biograficzne studjum pt. „Mickiewicz — dusza Polski", pióra p. J. P. Palewskiego.



DROBIAZGI LITERACKIE

WAREMME — WARSCHAUER...

Beletrystyka polska nie znajduje w życiu naszem materjału do tworzenia postaci o demonicznym uroku. Mało jest też ludzi mocnych, nieubłaganych, ogarniętych ideją wielką. Z natury posiadamy serce łagodne, choć zdarzają się śmieszne, buńczuczne typy. Tempo życia polskiego nie płynie też zbyt rącz. Powieści nasze przeważnie pokazują tego rodzaju wydarzenia, no i ludzi na miarę tych wydarzeń.

Żeromski w „Dziejach Grzechu" odmalował kilka zbrodniczych typów o szerszym zasięgu skrzydeł. Jegomość Płaza - Spławski, człowiek anormalny, silny poczuciem względności rzeczy, kryminalista z psychiki podmawia do czynów krwawych, umiejętnie lawirując przed haczykami sprawiedliwości... Jest on jednak zwykłym kryminalistą w stosunku do Schellenberga z powieści Kellermanna. Wogóle w powieści niemieckiej w ostatnich czasach stworzono galerję figur o niesamowitym uroku siły psychicznej oraz intellektualnej. Jakób Wassermann specjalnie umiłował sobie tego typu postać; coś z filozofa, cygana, demona, gwałciciela praw boskich i ludzkich. Pokazuje ją w różnych odmianach w kilku powieściach. W „sprawie Mauritiusa", głośnej szeroko czytanej powieści nietylko w Niemczech, występuje, jako centralna figura niejaki Waremme - Warschauer. On to krzywoprzysięstwem swoim pogrąża na wieczne czasy docenta Mauritiusa, domniemanego zabójcę żony. Czyni to, by ocalić swoją kochankę, sprawczynię mordu.

Wassermann roztacza koło niego wszystkie powaby umysłowe i psychiczne. Potrafi on trzymać w hypnozie najprzedniejsze umysły Niemiec. Prowadzi akcję przekształcania Europy ku celom polityki niemieckiej. Waremme jest człowiekiem intellektualnie - uniwersalnym. Wznosi się na szczyty towarzyskie i społeczne. Proces Mauritiusa załamuje go moralnie: w Stanach Zjednoczonych szuka dla siebie ujścia. Wraca do Berlina pod starem nazwiskiem, bo zwał się on nie Waremme, lecz Warschauer, a pochodził z Torunia, był synem żydowskim.

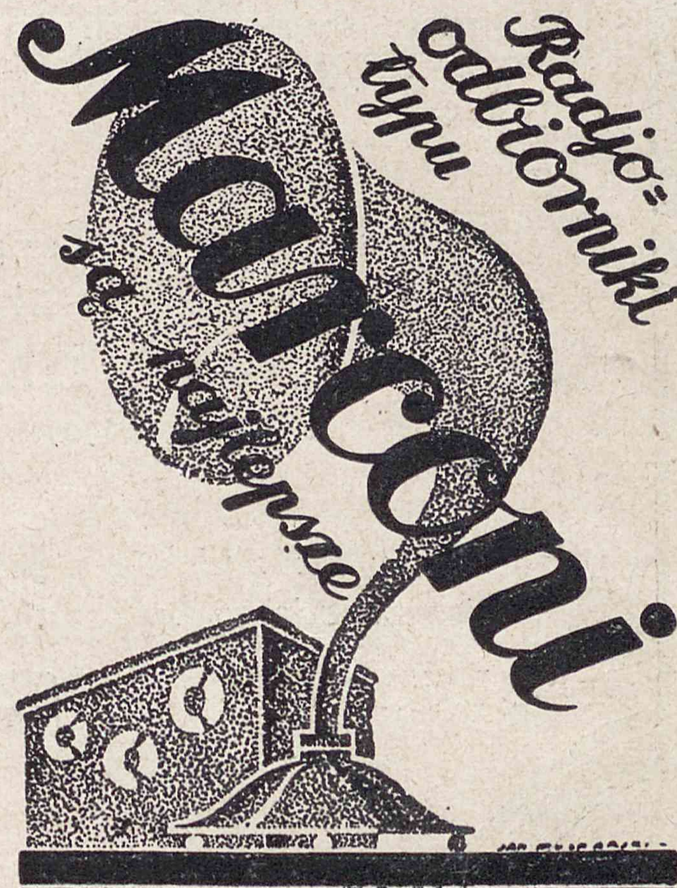
Człowiek ten zastanawia rozterką swojej stalowej, prężnej psychiki. On wie, że jego nie dosięgnie sprawiedliwość. Jest on panem swoich losów nawet w godzinę upadku.

Warto przyjrzeć się bliżej jego sile witalnej. Nie jest to człowiek do naśladowania. Przez niego tłomaczy się do pewnego stopnia środowisko, z którego pochodzi, jak i środowisko, wśród którego działa. Nie bez wpływu pozostał i Nietzscheanizm, ale i ten jest produktem Niemiec-kim...

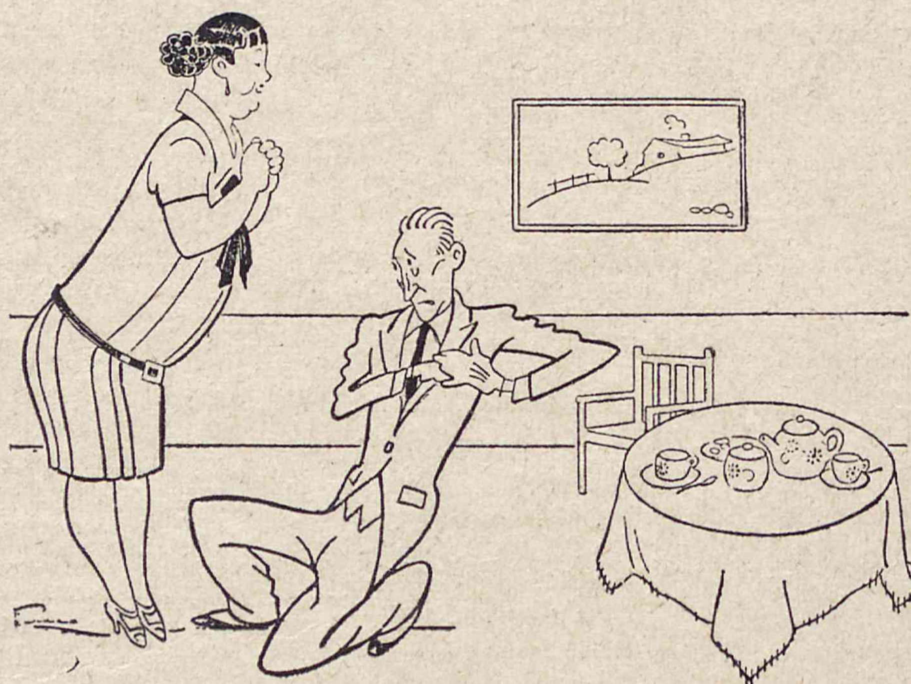
Indywidualne pielęgnowanie urody

Podobnie jak dobór środka do mycia twarzy musi być wedle zasad nowoczesnej nauki celowy, jak nawet puder musi być indywidualnie dostosowany do danej właściwości cery, tak i kremy mają swe celowe przeznaczenie. Wszelki szablon niszczy urodę. Tylko woda gorąca zasługuje na miano skutecznie działającego środka uniwersalnego, mydło natomiast i to *neutralne* — służy tylko prawidłowej cerze. Tłustą cerę winno się myć wyłącznie *proszkiem marmurowym „Miraculum"* a pudrować — odtłuszczającym pudrem *higjenicznym D-ra Lustra.* Suchą zaś — *otrąbkami migdałowemi D-ra Lustra* a z pudrów wskazany jest jedynie: puder *egzotyczny D-ra Lustra,* ponieważ zmiękcza naskórek. Dla każdej niemal właściwości cery wskazany jest *inny* krem, o czem w następnym artykuliku.

Dr. Z. B.



HUMOR ZAGRANICZNY



— Każde życzenie pani spełnię natychmiast. Wszystko, co pani zechce...
— Zrób pan, żebym schudła!

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski*

Druk Galewski i Dau, Warszawa

HUMOR ZAGRANICZNY



— O! Czerwone jajko! Czy to kury socjalistyczne znoszą takie jajka?

Le Rire.



DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA